

Barbara Gancarczyk
/z d. Piotrowska/
Warszawa, ul. Łotewska 10 m 4
tel. (0-22)617-33-17



Fragmenty z pamiętnika sanitariuszki „Pająk”
z drugiego plutonu kompanii szturmowej batalionu
„Wigry”

obejmujące okres Powstania Warszawskiego na Starym Mieście
od 1.VIII.1944 r. do 2.IX.1944 r.

Warszawa, 20. XII.1969 r.
opracowano na podstawie notatek robionych
w listopadzie i grudniu 1944 r.

1.VIII.1944r.

O koncentracji oddziałów powstańczych dowiaduję się o godz. 11-ej w południe od Zbyszka Smidowicza, który właśnie udaje się na swój punkt do Śródmieścia. Żegnamy się z mieszanym uczuciem: niepokoju i wiary, że się jednak jeszcze zobaczymy /w tydzień potem 8-go sierpnia Zbyszek ginie w ataku na Pastę/.

O godzinie 14-ej stawiam się, jak codziennie na punkcie kolportażu u p. Hanki po tajną prasę i korespondencję. Stamtąd mam już blisko do Danki Schiele na Noakowskiego. Danką jest członkiem tej samej organizacji harcerskiej, co ja. W czasie okupacji przechodziłyśmy obie szkolenie sanitarne i bojowe w ramach batalionu „Wigry”.

Danka jest poinformowana o naszym punkcie koncentracji. Podaje adres: Stare Miasto, ul. Kilińskiego 1, mieszkanie prof. Hempla, godz. 17.

Od Danki wychodzę o godz. 15-ej. Niewiele mam czasu. Muszę dotrzeć do mojej przyjaciółki Wandy Manczarskiej na Leszno, gdzie pozostawiłam ekwipunek: plecak oraz apteczkę.

Komunikacja tego dnia jest „parszywa”. Tramwaje chodzą nieregularnie, są przepełnione.

Wandę zastaję w jej mieszkaniu. Ona również wychodzi na swój punkt, ale do Śródmieścia. Ojciec Wandy prof. Manczarski pilnuje, abyśmy zjadły cośkolwiek przed wyjściem, ale nie mamy na to czasu. Żegnamy się w pośpiechu. Jeszcze na schodach dochodzi nas jego głos, gdy przestrzega: „tylko nie słuchajcie głupich rozkazów”.

Na ul. Żelaznej rozchodzą się nasze drogi. Jeszcze jedno pożegnanie, żal, niepokój, maskowany uśmiechem „-Wańdziu, -Basiu, a więc do zobaczenia”.

Ja gonię pieszo w kierunku Sta rówki, Wanda łapie jakiś tramwaj do Śródmieścia.

Na Kilińskiego docieram na kwadrans przed 17-a. W mieszkaniu zastaję sporą grupę chłopców i dziewcząt. Słychać dalekie strzały.

Strzelanina trwa do świtu.

2.VIII.1944r.

Nad ranem oznajmiają nam, że akcja powstania nie powiodła się. Chłopcy będą przedzierać się w zwartej grupie do

puszczy Kampinoskiej przez Wolę, a dziewczęta, udając zagubionych „cywili” mają rozejść się do rodzin.

Opuszczamy naszą kwaterę na Kilińskiego małymi grupkami, zostawiając na miejscu powstańczy ekwipunek. O godzinie 6-ej rano wychodzę razem z Janką i Isią. Kierujemy się w stronę pl. Napoleona, gdzie mieszka moja ciotka. Nasze domy rodzinne pozostały po drugiej stronie Wisły na Saskiej Kępie i Grochowie. Idziemy Podwalem, potem względnie cichą, wąziutką uliczką Kozią. Po drodze prawie nie spotykamy ludzi. Na rogu Koziej i Trębackiej natykamy się na duży czołg niemiecki. Janka tłumaczy po niemiecku, że powstanie zastało nas przypadkiem na ulicy, a chcieliśmy dostać się do naszej rodziny na pl. Napoleona. Niemcy na widok trzech młodych dziewcząt, rzucają niewybrednymi dowcipami. Nie puszczają nas przez Krakowskie Przedmieście, twierdząc, że tam jest obstrzał i kierują w stronę pl. Saskiego. Plac Saski roi się od wojska i żandarmów. Pełno tu czołgów, samochodów, dział. Najbliższa droga na pl. Napoleona prowadzi przez ulicę Mazowiecką, a więc przez to skupisko wojska. Początkowo „walimy” prosto na nich, ale przychodzi chwila zastanowienia: „czy aby rozsądnie tak leźć prosto w paszczę lwa?”. Brakuje nam odwagi, zawracamy, więc spokojnie i skręcamy w stronę pl. Teatralnego. Pod arkadami budynku trupy kilku mężczyzn w cywilnych ubraniach.

Na Senatorskiej w okolicy kościoła św. Antoniego znów czołg niemiecki. Ta sama gadka z Niemcami, co poprzednio; udajemy zaskoczone przez wypadki osoby cywilne. Tym łatwiej to nam przychodzi, iż rzeczywiście obok nas zjawiają się jakieś kobiety z dziećmi, starsi mężczyźni. Kierują nas na pl. Bankowy nie dając zresztą żadnej eskorty. Próbujemy przejść ul. Żabią do Królewskiej. Słyszymy świst kul karabinowych. Musieli Niemcy nas zauważyć z Ogrodu Saskiego. Chronimy się do najbliższej bramy. Potem przez podwórka domów i oficyn dostajemy się na plac Żelaznej Bramy, a stamtąd przez hale targowe i Ciepłą docieramy na ul. Twardą. Niestety przejście przez ul. Marszałkowską jest absolutnie niemożliwe. Bardzo silny obstrzał, czołgi nie dopuszczają nikogo do tej arterii. Zawracamy. Zostajemy skierowane na punkt opatrunkowy, mieszczący się przy ul. Mariańskiej 11 w prywatnym mieszkaniu p. Wandy.

3. VIII.

Rano wysyłają nas we dwie z Isią, jako patrol sanitarny w okolicy pl. Grzybowskiego. Spodziewają się rannych z oblężenia Pasty na Zielnej. Trzeba uważać, gdyż Twarda ostrzelwana jest przez „gołębiarzy”. Docieramy na przeciwko kościoła Wszystkich Świętych. Dalej nie puszczają. Nie mamy przydziału do żadnego oddziału powstańczego, nie możemy się niczym wylegi tymować, nie posiadamy nawet opasek powstańczych. Tkwimy gdzieś w bramie do południa. Trwa straszna ulewa. Wracamy na punkt przemoknięte do nitki. Tutaj dostajemy konkretną robotę. Trzeba przetransportować kilku chorych do szpitala. Zgłasza się również do nas jakiś oficer AL, prosząc o opiekę nad żoną, będącą w ciąży, która dostała krwotoku. Sprawa umieszczenia jej w jakimkolwiek szpitalu jest niezmiernie kłopotliwa. Wszędzie tłumaczą się brakiem specjalistów i odsyłają od Annasza do Kajfasza.

Jesteśmy z Janką u kresu sił fizycznych i psychicznych. Zrobiliśmy z chorą na noszach szmat drogi, wreszcie właściwie poinformowane trafiamy do prywatnego, urządzonego z szykanami gabinetu lekarza ginekologa na ul. Śliskiej 53.

Z ulgą zostawiamy mu pacjentkę, dając znać o tym jej mężowi. Po południu wysyłają nas z dużymi worami, koszami po żywność, pościel i materiały opatrunkowe dla nowoorganizowanego szpitala ZUS na ul. Mariańskiej. Chodzimy od podwórka do podwórka, wzywając ludność cywilną do składania darów. Obracamy kilkakrotnie, ludzie są nadzwyczaj ofiarni, nie żałują niczego.

Przed wieczorem przeżywamy pierwszy nalot. Bomby padają w okolicy Siennej, Złotej, a więc stosunkowo niedaleko nas. Spustoszenie ogromne.

4.VIII.

Zgłaszamy się do pracy w szpitalu. Isia i ja dostajemy pod opiekę każdy jeden pokój z czterema rannymi. Janka pracuje jako rejestratorka chorych i rannych, których ciągle przybywa. Kierownictwo szpitala wymaga zachowania nienaganego porządku i czystości. Codziennie myjemy chorych, karmimy, podajemy lekarstwa, asystujemy przy opatrunkach, zmywamy podłogę w naszych salach. Jesteśmy obie pielęgniarkami-amatorkami przyuczonymi, co prawda do tej misji na kon-

spiracyjnych kursach, tym niemniej nasza praca w szpitalu, nasz stosunek do chorego nie ma nic wspólnego z zawodową rutyną. Zbyt głęboko przeżywamy czyjś ból, przejmujemy się każdym najdrobniejszym żądaniem, o ile to może w jakiś sposób ulżyć cierpieniu.

Jeden z moich podopiecznych to młody mężczyzna świeżo po amputacji ręki, ma wysoką gorączkę. Drugi z przestrzeloną, opuchniętą szczęką. Trzeba go karmić rurką. Trzeci ciężko poparzony od bomby fosforowej. Bardzo cierpi. Po dniu naszej służby w szpitalu, który trwa nieprzerwanie od godz. 7-ej rano do 8-ej wieczorem, jesteśmy zupełnie wykończeni.

5.VIII.

Normalna służba w szpitalu. Spotykam rannego Witolda Marczewskiego, kolegę sprzed wojny. Opiekuje się nim Isia. Witold nie ma dla niej słów uznania. W ciągu dnia nękają nas samoloty. Uwzięli się na naszą dzielnicę. Bomby padają st0-sunkowo blisko. Lecą szyby z okien. Odsuwamy łóżka w głąb pokoi. W przeciwieństwie do większości personelu nie schodzimy z Isią do schronu. Trwamy przy naszych rannych, których nie można nawet sprowadzić na dół. Choć budynek trzęsie się od wybuchów, pocieszamy ich, że to dalekie bombardowanie i nic im nie grozi.

6.VIII

Praca w szpitalu. Przed południem spotykam Wandę Krysięwicz. Przyszła odwiedzić rannego kolegę. Ma przydział, jako sanitariuszka do jednego z oddziałów powstańczych w Śródmieściu. Nam trzem bardziej odpowiada służba w oddziale niż w szpitalu; do niej przygotowywano nas w czasie konspiracyjnego szkolenia. Poza tym mamy trochę żalu do dowództwa, że nas wykiwano rozpuszczając do domów. Przecież walka trwa dalej, nie ma mowy o jakiejś klęsce, a tym bardziej o upadku powstania. Na ulicy widać się oddziały bojowe, którym towarzyszą dziewczęta - sanitariuszki i łączniczki. Zazdrościmy im zaszczytnej służby.

Wanda proponuje nam przydział do swojego oddziału. Przystajemy na to z ochotą. Umawiamy się z nią nazajutrz na 12-tą w południe. Do tego czasu zobowiązujemy się przedostać na Stare Miasto po nasz ekwipunek sanitarny - apteczki i plecaki i powrócić do Śródmieścia.

Po południu wychodzę na ul. Złotą do rodziny jednego z moich rannych po żywność dla niego. Widzę straszliwe skutki bombardowania.

Wieczorem oznajmiamy władzom szpitalnym, że obejmujemy służbę przy oddziale powstańczym. Pożegnanie z naszymi podopiecznymi w szpitalu jest rzewne. Przez te kilka dni zdołaliśmy się do siebie przyzwyczaić. Obiecujemy przychodzić w odwiedziny. Na nocleg udajemy się do naszej kwatery-mieszkania p. Wandy na ul. Mariańskiej. Niestety zastajemy tam pożar. Dom pali się od dachu. Nosimy kubły wody na 4-te piętro. Poza nami trzema udział w likwidowaniu ognia biorą najwyżej 2-3 osoby. Po godzinie jesteśmy kompletnie wykończone. Siadamy w bramie na ziemi i usiłujemy zasnąć. Jest zimno, twardo i bardzo niewygodnie, postanawiamy więc zanocować u moich znajomych p. Madejczyków, mieszkających niedaleko na Twardej 18. Jest godz. 12-ta w nocy. Po uprzednim upewnieniu się do kogo idziemy, ktoś z mieszkańców domu pełniący akurat dyżur na podwórzu, otwiera nam bramę. Nasi znajomi, jak zresztą wszyscy mieszkańcy kamienicy, przenieśli się do piwnicy. Postanawiamy rozgościć się w ich mieszkaniu na czwartym piętrze. Zastajemy je otwarte, częściowo zdemolowane. Przez dziurę w suficie widać gwiazdy. Układamy się we trzy na jakimś starym tapczanie. Nieludzkie zmęczenie przewyższa wreszcie wszelkie niewygody, zimno i sprowadza tak upragniony sen.

7.VIII.

Budzimy się o 6-ej rano. Dojadamy resztki chleba pozostawione w kredensie, popijamy je sokiem jagodowym. Przygotowujemy się do wymarszu na Starówkę. Droga prowadzi przez wypalone Hale Mirowskie. W okolicy żywego ducha. Nie mamy pojęcia, jaka jest sytuacja. Gdzie są Niemcy, gdzie nas? z której strony strzelają? Którędy można bezpiecznie dojść do Elektoralnej? Wokół spokój i cisza. Strzały karabinów maszynowych słychać, ale gdzieś z oddali. Decydujemy się na „skok” przez plac Mirowski. Poszło gładko. Żadnej reakcji ze strony Niemców. Na Elektoralnej natykamy się na oddziały wycofujące się z Woli. Docieramy na Kilińskiego 1.

Na kwaterze zastajemy niektóre koleżanki z „Wigier”. Dowiadujemy się, że nasi nie wrócili jeszcze z Woli. Komunikujemy, że otrzymałyśmy przydział w Śródmieściu i tam wracamy. Mamy

stawić się na godz. 12-tą. Odnajdujemy nasze plecaki i apteczki. Wychodzimy ze Starówki. Docieramy do pl. Bankowego. W ruinach dawnego Banku Polskiego zatrzymuje nas posterunek powstańczy. Komunikują, że droga do Śródmieścia została dzisiaj rano przez Niemców odcięta i nie ma możliwości przejścia dalej. A więc zmuszone jesteśmy pozostać na Starówce.

Janka idzie do Szpitala Maltańskiego. Dowiedziała się, że przebywa tam jej kolega. Jest ciężko ranny. My z Isią wracamy na Kilińskiego 1.

8.VIII.

Wraz z dużą grupą chłopców i dziewcząt wyruszam na Stawki. Mieszczą się tam zdobyte przez powstańców duże, doskonale zaopatrzone magazyny niemieckie. Droga prowadzi przez getto. Docho-
dzimy blisko cmentarza powązkowskiego. „Fasujemy” wszystko co się da: żywność /makę, cukier, konserwy/, oraz mundury niemieckie i bieliznę. Wracamy obciążeni.

9-11.VIII.

Nasz pluton pod dowództwem por. „Andrzeja” i „Pioruna” zostaje oddelegowany do szkoły na Barokowej, jako ochrona Kwatery Głównej gen. „Bora”. Nocą pełni dyżur w ogrodzie Krasińskich w czasie nocnych zrzutów broni i amunicji.

Tutaj poznajemy O. Tomasza Rostworowskiego, który jednego wieczora organizuje ognisko harcerskie. Siadając do pianina, śpiewa razem z nami żołnierskie i harcerskie piosenki. Nastrój jest pogodny, wesoły, bez troski.

12.VIII.

Przez cały dzień trwa silne bombardowanie szkoły na Barokowej. Niemcy musieli się dowiedzieć, że tutaj właśnie mieści się kwatera główna.

W dzień nękają nas samoloty, w nocy artyleria. Zmuszeni jesteśmy na noc zejść do piwnic.

Drugi pluton komp. Szturmowej „Wigier” obejmuje od rana stanowiska w Katedrze Św. Jana na ul. Świętojerskiej.

13.VIII niedziela:

Rano w szkole na Barokowej odprawia nabożeństwo O. Warszawski. Budynek jest poważnie uszkodzony. Bombardowanie trwa w dalszym ciągu. Zarządzają ewakuację zarówno kwatery głównej, jak i oddziałów. Wracamy na Kilińskiego 1.

Na ul. Długiej **spotykam** moją znajomą z Saskiej Kępy Zosię Martens. Podąża za jakimś oddziałem. Drogi nasze się rozcho-
dzą. Nie mamy czasu aby zamienić ze sobą kilka słów. Witamy
i żegnamy się uśmiechem. Do głowy mi nie przychodzi, że to bę dzie
ostatni uśmiech Zosi, jaki zachowam w pamięci, nie przeczuwam, że
zginie ona w **bardzo krótkim czasie po naszym spotkaniu**.

Po południu, około godz. 17-ej dochodzi nas sensacyjna
wiadomość, że nasi zdobyli czołg na pl. Zamkowym. Jesteśmy na
kwaterze, na I p. domu Kilińskiego 1. Wybiegamy na balkon,
pchamy się do okien. Dostrzegamy jadącą tankietkę Podwalem od
Nowomiejskiej. Jest coraz bliżej. Flaga biało-czerwona powiewa
nad nią. Tłum ludzi wylega na ulicę. Udziela się ogólny entuz-
jazm, radość. Czołg dojeżdża do **barykady na rogu Podwala**
i Kilińskiego. Wspina się do góry. Niestety przeszkoda jest zbyt
wysoka, staje. Ludzie momentalnie rozrzucają z jednej strony
płyty chodnikowe, z których zbudowana jest barykada. Jeszcze je-
dna próba tym razem zakończona powodzeniem. Przejeżdżają. Są
pod naszym balkonem. Z góry dostrzegamy siedzących harcerzy. Są
wśród nich dziesięcio-dwunastoletni chłopcy w harcerskich mun-
durkach, z powstańczymi **opaskami** na ramionach. Skręcają
w Kilińskiego w kierunku Długiej. Wrzeszczymy z radości, **machamy**
im rękami, posyłamy całusy. Zatrzymują się pod sąsiednim domem.
Mechanizm musiał nawalić, bo prowadzący **wyskakuje z czołgu. Wi-**
dzimy jak coś majstruje. Otacza go tłum ludzi wyległych na uli-
ce. Tłum ten rośnie, pęcznieje. Ludzie starzy, młodzi, dzieci
biegną ulicami. Każdy chce dOtrzeć jak najbliżej, naocznie się
przekonać, że sukces jest najprawdziwszym faktem, a nie zmyśloną
bujdą, „kaczką” puszczoną gwoili podtrzymania na duchu.

Jest piękne, upalne, słoneczne popołudnie. Tłoczmy się
na balkonie. Ja stoję najbliżej betonowej **balustrady, obok Jan-**
ki. Widzę wszystko doskonale.

Nagle w ciągu ułamka **sekundy** w oczach pokazuje się pło-
mień... brak mi tchu, padam na ziemię ogłuszona. **Resztkami**
świadomości uprzytamniam sobie: to koniec. Musiał nas
trafić jakiś pocisk... Umieram.. Ostatnie myśli **zwrócone**
do matki. Mijają sekundy czy minuty - **zatracam poczucie cza-**
su. Rozdzierające, rozpaczliwe krzyki, przechodzące w zwie-
rzęcy ryk, skowyt, jęki ludzi porozdzieranych na strzepy
przywracają mi świadomość. Leżę **powalona** na ziemię jakimś

straszny podmuchem na kłębowskiu ludzi, którzy jeszcze przed chwilą stali obok mnie. Czuję, że ktoś spode mnie gramoli się, wyczołguje do pokoju. Klękam. Ręce, nogi mam **lepkie we krwi. Spódnica z przodu porwana na strzępy.** Nie czuję bólu. Czyżby to była **nie moja krew?** Wstaję. Robię krok. Trudno mi uwierzyć, że mi się nic nie stało, że nie jestem nawet ranna. Skupiamy się w pokoju **od podwórza.** Jeżeli to „szafa” to będą następne wybuchy. **Mieszkanie jest zdemolowane, zasłane gruzem. Drzwi i okna powyrywane z futryn.** Rozbite szkło na podłodze i sprzętach. **Sznurki w pokoju,** na których suszyłyśmy bieliznę, zawieszono ludzkimi strzępami. Ranne są Isia i Szpak. Nie mogę doszukać się **Janki ani Oli-Oli.** Stały obok mnie. Wybiegam na **balkon.** Potykam się niemal o okrwawiony **ludzki kadłub bez głowy i kończyn,** wyrzucony tu siłą wybuchu. Betonowa balustrada naszego balkonu została zmieciona. Dziewczęta mogły spaść na dół. **Widok jest tak straszny,** że odbiera wszelką odwagę. Dochodzą **krzyki rannych,** rozpaczliwe nawoływania **matek,** poszukujących swoich dzieci są nie do zniesienia. Wycofuję się do pokoiku sanitariuszek stosunkowo mało zdemolowanego. Działa tam już grupa naszych ocalałych sanitariuszek. Robią opatrunki. Przyłączam się do nich. Jestem **rozdygotana.** Drżącymi rękami przemywam komuś oczy pikryną zamiast riwanolem i dziwię się, że krzyczy. Widzę **przez okno** jak na podwórzu kopią wspólne mogiły. Szczątki ludzkie znosi się tutaj **niekiedy w** kubełkach. W powietrzu unosi się mdlący, okropny zapach spalonego ciała. Ujawniła się przyczyna tragedii. Zdobyczy czołg mieścił w sobie zdradziecki ładunek trotylu o **niesłychanej sile wybuchu.** Niemcy podstępnie **podprowadzili go pod** barykadę i uciekli.

Nocuję w pokoju od podwórza razem z rannymi Janką i Isią. Trudno zasnąć. **Jest to noc zrzutów. Samoloty alianckie latają bardzo nisko. Obrona niemiecka wprost niesamowita. Niebo jasne jak w dzień od reflektorów i pocisków świetlnych.** Kanonada broni przeciwlotniczej trwa **nieprzerwanie** aż do świtu. Rano dowiaduję się, że jeden z samolotów alianckich spadł na Miodowej.

14.VIII.

Pozostaję przy Isi i Jance. Obie są ranne. Mają gorączkę. Pomagam w uprzątnięciu mieszkania. Jestem kompletnie za-

łamana psychicznie po wczorajszym strasznym dniu. Robota mi wcale nie idzie, ruszam się jak „mucha w smole”.

15.VIII.

Mam dyżur w szpitalu na Długiej 7 na sali operacyjnej. Poza tym rejestruję przybywających rannych. Widok okropny nie na moje nerwy. Rozklejam się zupełnie w czasie opatrunku małej może sześciolatniej dziewczynki. Skomli z bólu jak mały psiak. Nie ma przy niej nikogo z bliskich. Może zginęli? Podtrzymuję opadającą głowinę, delikatnie głaszczę splakaną buzię i czuję, że sama mam oczy pełne łez.

„Gruba Zosia” posyła mnie na poszukiwanie kateteru. Biegam po wszystkich aptekach St. Miasta. Nigdzie nie mogę dostać. Dopiero na Franciszkańskiej niedaleko rynku Nowego Miasta obiecuja mi przygotować za 2 godziny. Apteka jest częściowo zawalona i niektóre instrumenty jak i cenne leki trzeba będzie dopiero odkopać.

W ciągu całego powstania nie spędziłam chyba tylu godzin w piwnicach między ludnością cywilną, co tego dnia. Adresy aptek, względnie ich właścicieli znane były najlepiej mieszkańcom Starówki, a ci siedzieli przeważnie w schronach. Z konieczności więc musiałam tam schodzić dla zdobycia potrzebnych informacji. Otaczano mnie kołem. Ludzie spragnieni byli wiadomości, chwyтали się nadziei, że piekło, na które zostali skazani wkrótce się skończy.

Dziewczyna w „panterce”, dziewczyna z akcji... być może łączniczka w ich mniemaniu, powinna znać sytuację.

Nie potrafię łączyć bez zająknięcia i opowiadać o nadzwyczajnych sukcesach, których nie było. W tym okresie walczyliśmy już tylko o utrzymanie pozycji. Zamknięto nas w kotle, odcięto od innych dzielnic miasta, skazano na zagładę, skupiając tu cały ogień bombowców, artylerii, „szaf” i wszelkiej broni.

W zastraszającym tempie mnożą się ludzkie tragedie, wala się domy jedne po drugich, znikają bez śladu znajome staromiejskie zaułki, ba! - całe ulice.

Coś trzeba odpowiedzieć tym ludziom. Czekają na słowa po-krzepienia. Mówię o rozpoczętej ofensywie sowieckiej, o tym jak nocami tkwiąc na barykadach wsłuchujemy się w grzmot ar-

mat z za Wisły, trwający nieustannie od kilku dni. Tak, niewątpliwie już niedługo wszystko pomyślnie się zakończy.

Swoją drogą czuję się szczęśliwa, że biorę udział w powstaniu, że nie siedzę bezczynnie w schronie. **Nie wytrzymałabym takiej atmosfery: tego ciągłego nasłuchiwania nadlatujących samolotów, liczenia spadłych bomb według ich detonacji, niepokoju, że przywała mnie żywcem gruzy kilku-piętrowej kamienicy.**

Na rozpamiętywanie tragicznych sytuacji brak mi po prostu czasu. Mam przydział do harcerskiego batalionu. Obracam się wśród młodych ludzi, tak jak ja, pełnych zapału, może trochę lekkomyślnych /bo to cecha młodości/, **których mimo wszystko stać jeszcze i na uśmiech i na dowcip, a jak trzeba, na pomoc pełną poświęcenia.** Stanowimy jedną wielką solidarną rodzinę. To prawda, że każdego dnia śmierć wyrywa kogoś z naszego grona. Każda strata jest bolesna i każda budzi natychmiastowe refleksje: kto następny? Może teraz **moja kolej?**

Ale przecież tu na zewnątrz oddychamy innym powietrzem, inna atmosfera mimo wszystko... mimo, że blask szalejącego pożaru jest niekiedy silniejszy od blasku słońca tonącego w dymie, świst lecącego pocisku, nagły wybuch - **nawet ten zwalający z nóg, seria kaemu, to dla nas krótki moment strachu i... utwierdzenie w przekonaniu, że nie każda „zaraza” musi nas akurat trafić.** A po kontuzji wystarczy spojrzeć w lusterko, aby wybuchnąć śmiechem: „rany boskie, czy możliwe, że ten kocmołuch to ja?” W takich warunkach chłopcy nigdy nie potrafią docenić **urody** dziewcząt batalionu.

16.VIII.

Rano razem z Teresą zostaje odkomenderowana do drugiego plutonu por. „Andrzeja” /Jerzy Kowalczyk/, który zmienia oddział broniący katedry św. Jana. Katedra nie jest zniszczona. **Wprawdzie** okna są wybite, a ściany огоłocone z niektórych cennych dzieł sztuki, noszą wyraźne ślady toczących się tutaj walk, ale mury zewnętrzne i sklepienia są prawie nienaruszone, **a drewniane wyposażenie wnętrza w całości.**

W kaplicy Literackiej stopy poskładanych cennych książek, wydawnictw albumowych, dzieł z dziedziny historii sztuki. Szczególnie te ostatnie mnie interesują jako studentkę Wydziału Architektury. Wybieram sobie jakąś jedną ilustrowaną

książkę, aby w wolnej chwili móc do niej w spokojnym miejscu zajrzeć, nie przeczuwając, że takiej okazji w okresie **powstania nigdy nie będzie**. Katedra w ciągu pierwszej połowy **sierpnia** paliła się kilkakrotnie. Jakoś udawało się zawsze gasić ogień w zarodku. Pożar, który strawił ją doszczętnie zaczął się 16-go sierpnia w południe.

Niemcy podpalają pociskami zapalającymi domy po drugiej **stronie Dziekanii**. Na skutek silnego wiatru ogień przenosi się szybko na boczną kaplicę, prezbiterium i nawy. **Grupka** mężczyzn próbuje go gasić. Ktoś taszczy nawet węża straża**C**-kiego. Cóż, kiedy znikome ilości wody unicestwiają wszelkie wysiłki. Zgromadzone książki, drewniane boazerie, ławki, ob**i**-cia stopniowo padają pastwą płomieni.

Na zewnątrz kościoła od Kanonii nasi chłopcy **wzmacniają** na prędce barykadę. Katedra, jest najbardziej wysuniętym **punktem Starówki od strony wschodniej**. Ruiny zamku oraz budynki pod skarpą wiślaną zajęte są przez Niemców i Własowców. **Nieprzyjaciel podchodzi wypalonymi ruinami Kanonii**.

Chłopcy w pośpiechu ściągają na barykadę worki cukru zgromadzone w przedsionku przez zapobiegliwych księży. Znoszą także różne sprzęty, chodniki, co popadnie, byle prędzej. Szamocą się z jakimś leciwym dziadkiem, któremu porwali pieczołowicie przechowywane w kościele **piernaty**. Por. „Andrzej” kierujący akcją **wyrywa komuś** okazałych rozmiarów dywan: „Co do cholery, powariowaliście? Dywan na barykadę? Przyda się na posłanie **w tej bramie**. Na gołym betonie chcecie spać?”. Na wierzch barykady ściąga się blachę, która całymi arkuszami spada z płonącego dachu.

Wchodzimy z Teresą do katedry. W kaplicy Baryczków wisi **jeszcze Chrystus Cudowny**. Jeden z księży usiłuje zdjąć figurę z krzyża. Wokół na ołtarzu i posadzce rozsypane **wota z roztraskanej pociskami** gabloty, między nimi **wysokie odznaczenia bojowe** - Krzyże Virtuti Militari. Pomagamy księdzu **we dwie** z Teresą. Figura jest duża i ciężka. Chwytny ją w wyciągnięte dłonie. Przenosimy do sąsiedniej bramy na Jezuicką 1. Tam ksiądz odłącza od korpusu rozkrzyżowane **ręce**. **Z bliska** przyglądam się Obliczu. Dotychczas patrzyłam na Nie z pewnego oddalenia; tonęło w mroku ciemnej kaplicy. Wydaje się **surowe**. **Z zaciekawieniem badam** wzrokiem **legendarne włosy**. Są rze-

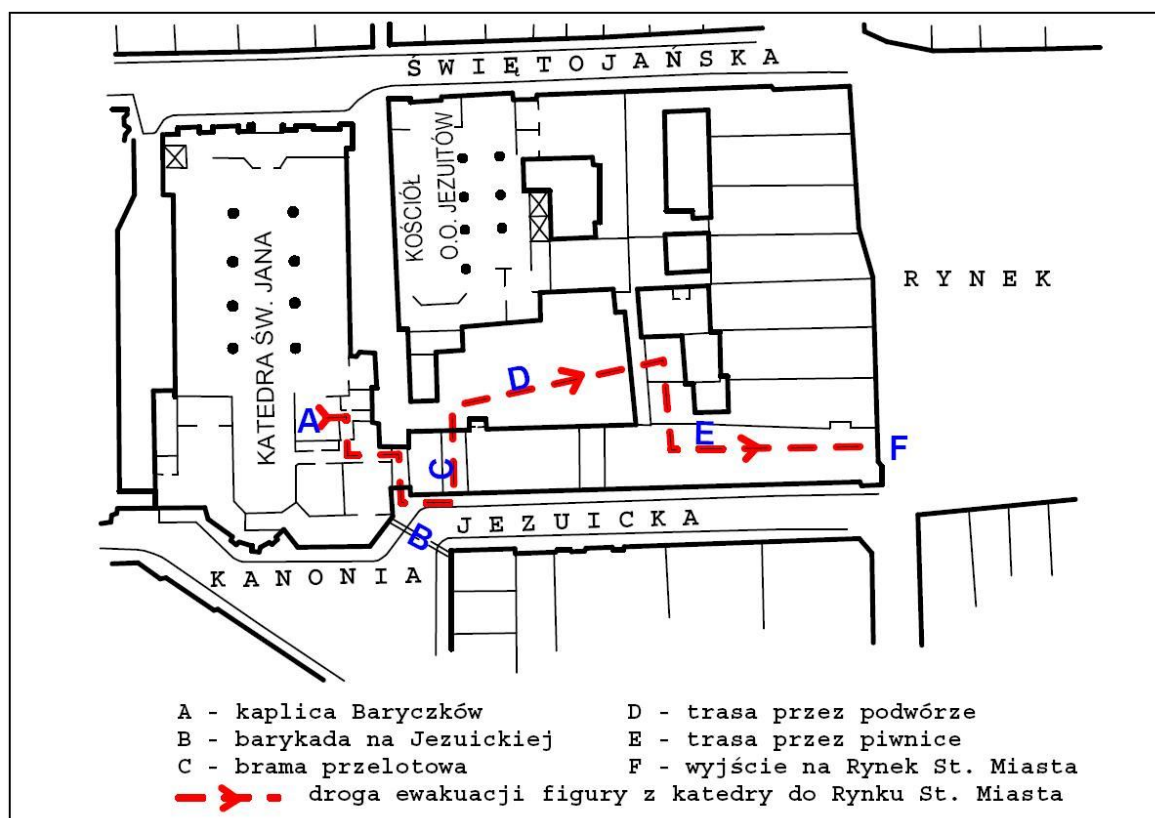
czywiście prawdziwe, ale przyprószone pyłem, Figura ma być złożona tam gdzie trumna ze szczątkami św. Andrzeja Boboli, w podziemiach kościoła O.O. Dominikanów na Freta.



1. ul. Jezuicka 1 – brama, przez którą niesiono figurę Pana Jezusa

Droga od katedry do Rynku Starego Miasta prowadzi poprzez piwnice sąsiadujących ze sobą kamieniczek. Zarówno Jezuicka jak i Świętojańska jest pod silnym ostrzałem. Podziemne przejścia zatłoczone ludźmi. Ciemno. Gdzieś tam tylko migoce światło świecy. Idę pierwsza niosąc przed sobą ręce figury. Proszę o zrobienie przejścia dla posuwającego się wolno za mną księdza i kolegi z oddziału. Ludzie na wieść, że niosą Cudownego Pana Jezusa z katedry rozstępują się, klękają, głośno modlą, niektórzy płaczą.

Kiedy w kilka lat po wojnie będę świadkiem uroczystości kościelnych związanych z powrotem tegoż Pana Jezusa do katedry, kiedy obserwować będę tłumy wiernych, biorące udział w procesji i uroczystym nabożeństwie, celebrowanym bodajże przez samego Prymasa - powrócę myślą do tamtych powstańczych dni o jakże innej scenerii. Dochodzimy do ostatniej kamieniczki skąd jest bezpośrednio wyjście na Rynek. Przekazuję ręce cennej rzeźby, traktowanej przez mieszkańców Warszawy jak najświętsze relikwie, komuś z cywilów, który je poniesie dalej. Sama wracam do naszego oddziału do katedry. Na tym odcinku robi się gorąco nie tylko z racji szalejącego pożaru, ale i dlatego, że Niemcy znacznie wzmogli ostrzeliwanie. Czyżby przygotowywali się do ataku? Jeżeli tak to sanitariuszka może być w każdej chwili potrzebna.



W katedrze ogień rozprzestrzenił się coraz bardziej. Płonęła wschodnia nawa i część prezbiterium.

Razem z Teresą pomagamy księdzu w zasypywaniu piachem stalowej pokrywy chroniącej wejście do podziemi. Złożono tam najcenniejsze skarby: złote monstrancje, kielichy, niektóre obrazy. Wszystko to, cudem jakimś ocalałe i zostało po wojnie w nienaruszonym stanie wydobyte.

W akcji ratowania zabytków katedry i innych związanych ze Starym Miastem duże zasługi położyła nasza koleżanka z "Wigier", studentka Akademii Sztuk Pięknych Ewa Faryaszewska. Z narażeniem życia wyносиła z płonących kościołów, wygrzebywała z rozwalonych domów bezcenne skarby naszej kultury. Zginęła w czasie akcji 28 sierpnia.

Strzelanina nie tylko nie ustaje, ale ciągle się wzmacnia. Mamy kilku rannych: Edek „Kański” dostał odłamkiem granatnika, na szczęście niezbyt groźnie. Teresa odprowadza go na nasz punkt opatrunkowy na Kilińskiego. W katedrze „Wigry” obsadziły stanowiska w części zachodniej kościoła nieobjętej pożarem. Barykady na Świętojańskiej bronią oddziały „Bończy”.

Ogień granatników jest tak silny, że aż strach wyjść poza obręb budynku, toteż ci, którzy nie tkwią na stanowiskach bo-

jowych zgromadzili się w bramie Archiwum na Jezuickiej. To nasza kwatera. Nagle dochodzi nas rozzdzierający krzyk kobiety. Cierpnie mi skóra na myśl, że w tej sytuacji będę musiała biec na ratunek. Chwila wahania. Strach walczy z poczuciem obowiązku. Nadzieja, że może ktoś przede mną skoczy na pomoc przytrzymuje mnie na miejscu. Mijają sekundy... Rozpaczliwe wołanie „ratunku!” powtarza się kilkakrotnie. Nie ma już wątpliwości skąd pochodzi. Musiało kogoś razić na drodze ze Świętojańskiej na Jezuicką. Biegnę za głosem. Przez dziurę w murze dostaję się na podwórko przy katedrze. Niewiele widzę, jest zmierzch, a poza tym unoszący się wokół pył po wybuchu przesłania wszystko. Dostrzegam wreszcie dwie postacie mężczyzn pochylone nad ranną. Dźwigają ją z ziemi, niosą. Razem z Teresą, która w tej chwili zjawia się koło mnie idziemy za nimi do przedsionka katedry - punktu pierwszej pomocy. Pierwsze oględziny potwierdzają ranę dość głęboką uda i dolnej części brzucha. Dochodzi nas rozpaczliwe pytanie: „Czy będę żyła?”

- „Ależ tak”. Rana jest wprawdzie dość głęboka, ale niegroźna. Nie mniej trzeba się postarać o jak najszybsze przetransportowanie do szpitala. Dowiaduję się, że ranna jest Barbara Rankowska, sanitariuszka, czy też łączniczka oddziału broniącego Świętojańskiej. Ofiarowuję się zawiadomić jej rodzinę i koleżanki z sanitariatu kwatrujące w domu PKO na ul. Celnej. Odnajduję je w schronie, komunikuję o wypadku i o konieczności zorganizowania natychmiastowej pomocy lekarskiej. Mimo moich nalegań dziewczęta nie mają odwagi wyjść za mną. Nie czekam dłużej. Spieszno mi do swoich. Chyłkiem, samotnie przebiegam ulicę i szczęśliwie docieram do naszej kwatery w bramie na Jezuickiej. W kilkanaście minut potem mija nas patrol sanitarny idący po Barbarę Rankowską.

Nocą nie ma bombardowania, nie wstrzeliwują się w nas granatniki, nie nęka nas artyleria, ani „szafy”, ale i tak nikt nie może zmrużyć oka. Tuż obok pali się wielkim płomieniem katedra.

Idę zobaczyć to widowisko. Staję w przedsionku od Świętojańskiej pod mocnym sklepieniem chóru. Widok niesamowity. Całe wnętrze w ogniu, migoce potężnym światłem o odcieniach od jasno złotego poprzez czerwony do ciemnego fioletu. Bezu-

stanny trzaski i szum tłumiony jest od czasu do czasu hukiem walących się sklepień; wtedy wytryska jakby z ziemi fontanna ognia i iskier.

Kiedy patrzę na to wszystko ogarnia mnie jakiś żal i złość. Uświadamiam sobie całą bezpardonową, **nie** mającą granic potęgę niszczenia, dla której nie ma nic świętego.

18.VIII.

Mam dyżur na Jezuickiej w katedrze razem z Basią Wasilewską.

19: VIII.

Powracamy z katedry do nowej kwatery. Przydzielono nam spory pokój na piętrze w gmachu Ministerstwa na Długiej 7. Z Basią Wasilewską zabieramy się do przygotowania extra śniadania: chleba z krojonym boczkiem. Chłopcy nie mogą doczekać się momentu, kiedy wolno im będzie wyciągnąć rękę po swoją porcję. Porcje są ściśle wydzielone i ograniczone, ale obojętnie muszą być sprawiedliwe t.zn. równe.

Nagle dochodzi nas charakterystyczne skrzypnięcie „szafy”. Wiemy, że w kilka sekund dosięgnąć nas mogą straszliwe pociski. Rzucamy się na podłogę. Pokój ma okna wychodzące na ulicę. Słysząc pierwszy wybuch. Następny jest bliższy. Trzeci trafia w nasz budynek. Robi się szaro od pyłu, tynk sypie się na głowy, ściany trzęsą.

Żal nam bardzo naszego wspaniałego śniadania. Pajdy chleba oczyszczamy z gruzu i tynku, a że będą trochę trzeszczały w zębach nie takie to znowu nieszczęście. Gorzej, że „Beniuś” dostał odłamkiem w kolano. Sprowadzam go na dół do szpitala, który mieści się w piwnicach.

W pół godziny później zostaje ranny odłamkiem na podwórzu Ministerstwa „Zbych” i „Szary”.

Po południu wybieramy się razem z Teresą na Podwale 44 po przygotowane dla nas legitymacje AK-owskie. Trwa silne bombardowanie. Pół godziny siedzimy w piwnicy. Wreszcie decydujemy się wyjść. Na ul. Kilińskiego słyszymy skrzyp „szafy”. Rzucamy się do bramy, wpadamy na schody. Robi się ciemno, podmuch przewraca nas na ziemię, coś się sypie na głowy. Gubię legitymację trzymaną w ręku; Rąbnęło bardzo blisko, dwa piętra wyżej. Tym razem miałyśmy szczęście.

W nocy od godz.12-ej do rana mam dyżur przy rannym „Zbychu” i „Szarym”.

20.VIII.

Kwaterna nasza mieści się na parterze Ministerstwa w tzw. **papierni**. Czujemy się tu bezpieczniej niż na I p. Przede wszystkim dlatego, że **zajmujemy pomieszczenia** przeważnie bez **okien**. Za to panują tu egipskie ciemności; Trzeba palić świeczki. Spanie na belach papieru nie jest złe. W każdym razie cieplej i bardziej miękko niż na gołym **betonie**.



2. ul. Długa 7 – „Ministerstwo”

Jest niedziela.

W korytarzu Ministerstwa na parterze Mszę św. odprawia O. Rostworowski. Ludzi jest sporo. Przed samym podniesieniem trafia w budynek, na szczęście dwa piętra wyżej, pocisk „szafy”. Nabożeństwo zostaje przerwane na 10 minut. Trzeba uprzą-

nać gruz z ołtarza, zapalić na nowo świece, które zgasły. Wszyscy obecni zachowują godny podziwu spokój, nikt nie rusza się z miejsca, nie robi **paniki**. Panuje śmiertelna cisza. Ojciec Tomasz udziela wszystkim absolucji. Po krótkiej przerwie nabożeństwo odprawia się dalej.

W nocy mam dyżur z Basią Wasilewską w szpitalu na Długiej 7.

Zbyt szczupły personel szpitalny nie wytrzymuje ani fizycznie, ani nerwowo ciężkiej służby trwającej często bez przerwy ponad dwie doby albo i dłużej. Toteż do doraźnej pomocy angażuje się przeważnie sanitariuszki z oddziałów, te które po 24-ech godzinach schodzą z barykad na „odpoczynek”.

Pod naszą opiekę oddano dużą salę na parterze, oraz przylegający do niej korytarz. Razem około 80-ciu osób.

Ranni ci „szczęściarze” poukładani są często po dwóch na zsuniętych pod ścianami łózkach. Inni leżą pokotem między łózkami, niemal pod łózkami i na środku sali na materacach,

noszach, względnie kocach. Trzeba uważnie przechodzić, aby kogoś nie nadepnąć, bądź nie urazić. Sytuację pogarsza brak światła. Mały ogarek świecy i kilka zapalek, jakie nam pozostawiono na całą noc, to nie wiele. Dostałyśmy poza tym niecałą szklankę bezcennej zbożowej czarnej kawy na tych kilkudziesięciu umierających z pragnienia, wykrwawionych, trawionych gorączką ludzi. Dzielimy ją skąpo, najwyżej po łyżeczkę na jeden raz. Czuwamy z Basią w korytarzu. Mamy do dyspozycji jedno krzeselko. Obok nas ciężko charcze konając niemłody już mężczyzna z przestrzelonym gardłem. Na szczęście **jest przy nim żona**. Chory jest przytomny. Dusi się. Błaga żonę by go uniosła to znów położyła niżej i tak bez końca. Wydaje mu się, że zmiana pozycji przywróci **normalny oddech**. **Kobieta** jest u kresu wytrzymałości. Nagle zrywa się w szale i zaczyna okładać męża pięściami po głowie. **Krzyczy: „Ja już nie mogę, czemu mnie tak męczysz? Każesz mi się podnosić to znów kłaść.. ja już nie mam siły..”** Chwytny ją za ręce. Odciągamy na bok. Tłumaczymy: **„Co pani robi? przecież ten człowiek umiera”**. Kobieta wstrząsa łkanie.

Wśród chorych na sali znajduje się młody chłopak. Ma amputowaną nogę aż do pachwiny, oraz zabandażowaną głowę. Bez przerwy krzykiem nas wzywa, rzuca się na łóżku, a gdy do niego podejść, bełkoce coś niezrozumiale. **W pewnym momencie chwyta mnie za szyję. Mimo wszystko jest jeszcze bardzo silny.** Z trudem udaje mi się uwolnić od niego. Obecni na sali zaczynają go rugać za to, że tak zakłóca spokój. Wszak z nastaniem nocy mają przed sobą kilka godzin względnie spokojnego snu. Odgłosy walki słyszeć, ale gdzieś daleko. **Nękanie samolotów zaczyna się dopiero o świcie, gdzieś od 5-ej, 6-ej rano.** Na salach robi się cicho. Chorzy chcą spać.

Głośny jęk dochodzi nas z daleka. Tak jakby z góry. Na **pierwszym piętrze** pozostało jeszcze kilka osób. Jęk przechodzi w wyraźne wołanie, **powtarza się**. Idę za głosem. Wstępuję po schodach. Muszę przejść koło szpitalnej kloaki. **Od tygodni nie mamy kanalizacji.** Extrementy chorych znosi się tutaj na pierwsze piętro do pomieszczeń dawnych ubikacji, utworzyła się z tego masa sięgająca okna. Trzeba wstrzymać **oddech, gdy się tędy przechodzi.** Fetor doprowadza do mdłości, W drzwiach jednej ze zdemolowanych sal natykam się na **nosze z**

ciężko rannym mężczyzną. To on wołał rozpaczliwie: „wody, wody”. Opodal twarzą do ziemi, leży na brzuchu poparzona, nieprzytomna już, naga dziewczyna. Ta nie doczeka świtu. Umiera samotnie na gołej podłodze. Myślę o jej, najbliższych, których zresztą nie znam.... matka, ojciec, rodzeństwo... Boże, oby się nigdy nie dowiedzieli jak umierała ich, jedyna może, ukochana córka... siostra. Smukłe, młode ciało dyszy jeszcze. Cóż ja mogę dla niej zrobić? Nawet nie mam jej czym okryć. Makabra.

Rano wynoszą z naszej sali trzech umarłych.

21.VIII.

Od rana trwa silne bombardowanie oraz ostrzeliwanie rejonu Ministerstwa. Niemcy musieli się dowiedzieć, że tu właśnie mieści się dowództwo Armii Krajowej. Artyleria i „szafy” grzmia bez przerwy. Trwa ewakuacja górnych pięter szpitala oraz pomieszczeń na parterze. Wiele osób zaangażowano do tej akcji. Szpital liczy setki osób. Razem z „Grubą Zosią” włączam się do pomocy. Droga jest uciążliwa, niejednokrotnie zawalona gruzem i niebezpieczna, bo wala „jak diabli”. Za każdym trafieniem pocisku tynk i gruz sypie się na głowę. Szyby na szczęście już dawno zostały wybite, pokaleczenie szkłem więc nam nie grozi. Na skutek pocisków zapalających coraz w innym miejscu wybucha pożar, ale ofiarni „strażacy” dyżurujący na dachu szpitala działają sprawnie i zwykle ogień jest szybko lokalizowany.

Musimy pokonać szpitalne schody, duże podwórko, nieraz kręte przejścia i jeszcze przeskoczyć na drugą stronę ulicy Podwale. Wystarczy przenieść tędy tylko jedną osobę, aby serce z wysiłku podeszło do gardła. A tu trzeba obrócić przynajmniej z kilka razy. Odpocząć, nabrać tchu można w drodze powrotnej jak się idzie z pustymi noszami.

Na schodach -spotykam „Chińczyka” z plutonu 11-12. Przypatruje mi się i w pierwszej chwili nie poznaje: Wyglądamy z Zosią wprost upiornie. Rozczochrane, obsypane gruzem głowy, czerwone z wysiłku, osmolone twarze, znaczone cienkimi strużkami potu. Przerażone oczy „Chińczyka” wcale mnie nie dziwią. Z wdzięcznością przyjmuję od niego kilka pierników. Przez moment mam wyrzuty sumienia, że z braku czasu a może i ochoty nie czytam jego listów podsyłanych mi często „przez okazje”. Nawet nie wiem

jakie wyznania w sobie kryją, czego mi nie może darować Teresa. Ze stoickim spokojem i humorem znoszę jej **dogadywania i kpinki**.

Wieczorem część chłopców z naszego plutonu, **na czele z „Trzaską”, wyrusza kanałami na Żoliborz po broń**. Żegnamy ich pełni **niepokoju**.

22.VIII

Budynek Ministerstwa w dalszym ciągu **nękany jest pociskami wszelkiego rodzaju**. Jedynie **bomby lotnicze nas omijają**, **trafiają za to w domy po drugiej stronie Podwala, Kilińskiego, Długiej**. Pożar gmachu Ministerstwa trwa do południa. Obrona przeciwpożarowa zorganizowana jest imponująco. Przez całe **podwórze od beczek napełnionych jeszcze w pierwszych dniach powstania wodą ustawia się długi wąż ludzi**, Wąż ten sięga **ostatniej kondygnacji i nawet rozgałęzia się w kilku kierunkach**. **Najodważniejsi mają swoje stanowiska na dachu**. Tym razem pożar jest wyjątkowo groźny, **trwa od kilku godzin wybuchając w coraz innym miejscu**. Do gaszenia **zmobilizowano sporo osób i cały dostępny „sprzęt pożarniczy”, jak wypożyczone z kuchni garnki, kociołki, a także kubelki, miednice, miski i t.p.** **Podaję lewemu sąsiadowi miskę, żeby od prawego odebrać kubelek, a w następnej chwili uchwycić ucho jakiegoś garnka**. **Niestety zdarzają się krótkie przerwy w dostawie wody**. **Za każdym skrzypnięciem „szafy”, świstem pocisku, hukiem nadlatujących sztukasów, ludzie pryskają pod ściany, bądź chronią się do bramy, roniąc przy tym bezcenne krople wody**. Niektórzy już do kolejki nie wracają. Wąż „pożarników” **przerzedza się stopniowo**. Ale mimo wszystko koło południa ogień zostaje **opanowany**.

Piekło rozpętało się nad Starówką. Bombowce atakują **okolice Rynku St. Miasta, Jezuicką, Świętojańską**. **Rzadko się zdarza, aby bombardowano pierwszą linię frontu**. **Niewielka pomyłka w obliczeniach spowodować może rażenie własnych oddziałów**. Tym, **razem wszystko wskazuje na to, że bomby padły w okolicach katedry**. Co też się stało z naszym tkwiącym tam oddziałem?

Około godz.2-**ej po południu**, korzystając z krótkiej przerwy między nalotami pełna **niepokoj u wyruszam w tamtym kierunku poprzez Podwale, Nowomiejską, Krzywe Kolo, Rynek, Jezuicką**. Jestem **przerażona skutkami bombardowania**. **Najwięcej ucierpiał chyba Rynek**. Na Jezuicką, do naszych, wpadam w chwilę po uderzeniu **tam bomby**. **Trafiła blisko barykady**. **Podmuchał wywalił bramę i**

pokotem położył wszystkich będących w pobliżu. Znajduję ich zakurzonych poprzysypywanych pyłem. Jak to się stało, że nikt nie zginął?

Przy mnie w ruinach domu na Kanonii zostaje od bratniej kuli zabity „Lech”, który wyszedł z trzyosobowym patrolem na zwiady w kierunku Zamku. Wychylił się nieopatrznie z bramy, a ponieważ był w niemieckim mundurze został wzięty przez nieuprzedzonego kolegę za wroga i zabity na miejscu. Upadł na placyk Kanonii. Trzeba było czekać zmierzchu, aby go stamtąd ściągnąć. Pochowaliśmy go na podwórku graniczącym z kościołem 00. Jezuitów. Szybko powiększała się liczba mogił tego podwórca.

Przy mnie zostaje ranny w szyję „Ogniomistrz”, następnie „Robert”, Wojtek- „Rawicz”, „Dąb”. Odprowadzam „Ogniomistrza” do Ministerstwa. Wracam z Ewą po „Roberta”. Razem z Justyną i Ewą niesiemy go na noszach. Droga uciążliwa, ulice i rynek zasiane gruzami. Musimy przystawać od czasu do czasu dla złapania tchu. Dopiero na Krzywym Kole trafiamy na „cywilnych” mężczyzn, którzy, aczkolwiek bez entuzjazmu, ale pomagają nam donieść rannego do szpitala.

W okolicach katedry sytuacja niewesoła. Niemcy nacierają z kilku stron: od Zamku, Kanonii, skarpy. Oddziałek nasz jest zdekompletowany: część chłopców odeszła kanałami na Żoliborz po broń, poza tym wielu jest rannych, a wielu zabitych. Obrona katedry kieruje „Roch”. Prosi on mnie o zawiadomienie kogoś z dowództwa o ciężkiej i groźnej sytuacji na tym odcinku i sprowadzenie posiłków. Wracam na Kanonię razem z „Prymusem”, „Adamem” i pięcioma ludźmi z plutonu 11-12. W podwiniętej bluzie panterki, jak w fartuchu jabłka, pieczołowicie ni osę kilka filipinek i kilka granatów angielskich tzw. jajek, troszcząc się, aby się zbyt nie o siebie nie obijały. Nogi stawiam ostrożnie. Nie mam prawa się potknąć, a tym bardziej przewrócić.

Jest późny wieczór. Drogę oświetlają nam pożary. Wracam do Ministerstwa około godz. 12-iej w nocy. Dowiaduję się, że ranni „Benesz”, „Zbych” i „Szary” zostali przeniesieni pod Krzywą Latarnię.

23.VIII

Razem z Janką, Isią, „Grubą Zosią” i Teresą idziemy do „Beneszów” pod Krzywą Latarnię. Leżą w bramie na noszach.

Janka ma pełne kieszenie specjalnie dla nich wyszabrowanych pierników i herbatników. Transportujemy ich do naszego szpitalika na Podwale 19.

Wieczorem znajduję się w pokoju sanitariatu mieszczącym się na parterze obok „papierni”. Dochodzą mnie z podwórza wyraźnie podniecone głosy jakiejś grupy ludzi. Orientuję się, że to nasi chłopcy powrócili z Żoliborza. Wyskakuję do nich najkrótszą drogą przez okno. Witam się z nimi. Jestem uszczęśliwiona, że nikt nie zginął /zatajono przede mną śmierć „Bandery”/, Dostaję od „Stasiuka” woreczek z migdałami ze słowami: „dla ciebie, rannych, 5 sztuk dla „Nietykszy” i 3 dla mnie.” Podobno na Żoliborzu w porównaniu ze Starówką „kanada”; domy całe, żarcia dużo, ludzie wcinają pomidory i owoce. Coś niesamowitego, coś dla nas zupełnie nieosiągalnego.



3. Ruiny prezbiterium Katedry

24.VIII.

Razem z Teresą mamy służbę na Jezuickiej. Tego dnia panuje tu względny spokój. Naszą redutą są ruiny katedry.. Po pożarze zostały z niej tylko odarte zewnętrzne ściany, częściowo rozwalone. Sklepień już nie ma, a prezbiterium i nawy zasłane są gruzem. Najlepiej zachowały się pomieszczenia od strony Jezuickiej i Kaplica Baryczków. Zakrystia ma prawie nienaruszone boazerie. Chłopcy porostawiani są na stanowiskach jak zwykle. Trzech na galeryjce łączącej kiedyś katedrę z zamkiem. Od naszej strony dochodzi się tam po gruzach dawnych schodów osłoniętych od Dziekanii częścią ocalałej bocznej ściany. Z galeryjki, dzięki temu, że jest ona ucięta od strony zamku i położona kilka metrów ponad otaczającym terenem, jest doskonały wgląd w kierunku Wisły, a poprzez zakratowane boczne okienko można obserwować ruiny domów Kanonii. Jest to najniebezpieczniejszy, najbardziej wysunięty w kierunku nieprzyjaciela punkt, który Niemcy podchodząc od Dziekanii często obrzucają granatami. Tu najczęściej dyżurują przylepieni do ściany: „Stasiuk”, „Koch”,

„Nietyksza”, „Robert” „Roch”, „Zbych”; tu trzeba być zawsze czujnym, gdyż każdej chwili grozi atak nieprzyjaciela od strony ruin Zamku i Kanonii.



4. „Galeryjka” – widok od Kanonii

Na drabinie opartej o boczne okno wypalonego prezbiterium z kb skierowanym na Kanonię i Zamek tkwi zwykle Edek „Kański”, Dziwię się, jak ten chudzielec wytrzymuje taką niewygodną pozycję. Boczna kaplica oraz zakrystia

równie obsadzone przez naszych chłopców. Pozostali zajmują stanowiska na barykadzie przy Jezuickiej, róg Kanonii, oraz na piętrach budynku Archiwum Akt Dawnych przylegającego do Kościoła. Druga strona Jezuickiej oraz istniejący narożny dom przy Kanonii to „królestwo” por.-„Romana” i „Korwina” z I-ej kompanii wigierskiej.

Z dziewcząt pełnią tam służbę: Justyna, Krystyna, Bellona oraz Honorata. W porze obiadowej idziemy z Teresą do Ministerstwa po kocioł zupy. Nawet taka, zdawałoby się, prozaiczna czynność, jak noszenie posiłków na barykady kosztuje dużo wysiłku i nerwów. Trzeba ustawicznie wspinać się po gruzach, przemykać chyłkiem pod ścianami w chwilach nalotu lub obstrzału. Odpoczynki są krótkie. Chłopcy mają prawo choć raz dziennie, do „łyżki ciepłej strawy”. Strawę stanowi ciągle ta sama nieokraszona zupa z kaszy i klusek, gotowanych na wodzie nie pierwszej czystości. Na dwadzieścia kilka osób mamy do dyspozycji 3 głębokie talerze i tyleż łyżek, których z braku wody nie myje się, a co najwyżej przeciera papierem o ile taki jest pod ręką. Biedny „Faliński” ciężko chory na gruźlicę otrzymuje swoją porcję zawsze na końcu. Wieczorem gotujemy z Teresą kawę.

Noc spędzamy w częściowo rozwalonym mieszkaniu na parterze domu przy ul. Jezuickiej 1, przylegającym do barykady. Mamy

do dyspozycji szeroki tapczan niestety bez materaca. Gołe sprężyny ugniatają nas niemiłosiernie. Przed „psim” chłodem niewiele chronią nawet watowane niemieckie spodnie i „panterki”.

25.VIII.

Wstajemy o godz. 5-ej rano i zabieramy się do gotowania klusek z pasztetem. Są wyśmienite. Zostało ich trochę dla por. „Andrzeja”, „Stasiuka” i „Kocha”, którzy zjawili się u nas rano.

Niemcy znowu przypuścili atak na katedrę: Koło 12-ej w południe por. „Andrzej” wysłał mnie z meldunkiem do dowództwa. Wracam po kilkunastu minutach.

Przy mnie zostaje ranny na barykadzie „Nietyksza” w momencie gdy mierzy z pistoletu maszynowego w podchodzących od Kanonii Niemców.

Uderzenie jest silne, odrzuca chłopaka do tyłu: Razem z por. „Andrzejem” podczołgujemy się do niego, z trudem przeciągamy do najbliższej bramy. Prawa ręka zwisa bezwładnie, mocno krwawi. Po pierwszym prowizorycznym opatrunku razem z koleżanką transportujemy rannego do szpitala na Długa 7.

Do „sali operacyjnej” wchodzi się z narożnika budynku. Ta część podwórza jest zwykle zawalona stosem zużytych materiałów opatrunkowych nasiąkniętych ropą i krwią. Wokoło roje obrzydliwych much. Obok u wejścia na noszach, albo wprost na betonie leżą bądź siedzą ranni. Reszta czeka na swoją kolejkę w piwnicy sąsiadującej z pomieszczeniem gdzie się operuje. W zasadzie pierwszeństwo mają ci, którym tylko natychmiastowy zabieg może uratować życie. „Beznadziejnych, względnie lżejsze przypadki odkłada się ciągle ... na później. „Nietyksza” całą rękę ma zupełnie zgruchotaną. Duży wpływ krwi znacznie go osłabił.

Udaje mi się przekonać regulującą ruch pielęgniarkę, że w tym przypadku szybka pomoc jest niezbędna. Stosunkowo niedługo czekamy w kolejce. Obok nas jęczy ranny w brzuch Niemiec.

Tak zwana „sala operacyjna” to sporych rozmiarów piwnica kiepsko oświetlona kilkoma świeczkami. Całe wyposażenie stanowią dwa zwykłe stoły, kilka krzeseł, taboretów i jeden miękki fotel. W półmroku trudno coś więcej dostrzec. Pracują tu zwykle po 36 godzin bez przerwy albo i dłużej jednocześnie dwa zespoły składające się każdy z jednego lekarza i jednej albo

dwóch pielęgniarek. Wytrzymałość ich jest godna podziwu. Upadając ze zmęczenia, zasypiając w trakcie robienia opatrunków, ciągle na nowo muszą mobilizować siły, aby wytrwać... za wszelką cenę wytrwać dopóki nie przyjdzie ich zmiana.

Sadzą „Nietykszę” na stołku, opieram mocno o siebie, aby w momencie operacji nie „fiknął kozła”. Przy świeczce następują oględziny strzępów ręki. Lekarz kiwa głową, szybko wydaje decyzję: na razie nie będzie amputacji, tylko dezynfekcja rany i opatrunek z założeniem szyny.

Nie stosują tu żadnych środków znieczulających, wszystko odbywa się na „żywcą”. Jedynym wybawieniem od cierpień może być omdlenie. Niestety chłopak jest przez cały czas przytomny; zaciska zęby z bólu, ale nie jęczy, nie krzyczy. Może ze strachu? Dochodzą nas z zewnątrz odgłosy bombardowania. Kolejne wybuchy wstrząsają murami budynku. Czujemy drżenie podłogi. W pewnym momencie świece przewracają się, gasną. Na głowy sypie się tynk. Na szczęście otwarta rana zabezpieczona jest bandażem. Z chwilą zapalenia świeczek lekarze i pielęgniarki powracają do przerwanej pracy spokojnie, bez paniki... tak, jak gdyby nic specjalnego się nie stało.

Muszę teraz zmobilizować kogoś, kto by mi pomógł przenieść nasze z „Nietykszą” do szpitalika „wigierskiego” na Podwale 19. Biegnę przez dziedziniec ministerstwa do naszej kwatery. Jestem zaaferowana, oślepiona światłem i dlatego zapewne nie reaguję, w pierwszej chwili na znajomy głos, wywołujący moje imię. Wreszcie poznaję... ależ tak, to prof. Manczarski, ojciec Wandy. Wypytuje mnie o córkę, o jej przyjaciółkę Stasię Witkowską, o Zbyszka Smidowicza, Niestety nic o nich nie wiem poza tym, że mieli przydział do Śródmieścia. Profesor pracuje w służbie łączności. W swojej pieczy ma radiostacje wojskowe. Jutro przechodzi kanałami na Żoliborz. Zatrzymuje mnie, ma żal, że się wyrwam, nie może zrozumieć mojego pośpiechu, choć tłumaczę, że czeka na mnie ciężko ranny kolega, Cieszymy się oboje z tego spotkania tak, jak cieszą się ludzie, którzy dawno zwątpili w to, że jeszcze kiedykolwiek żywi się zobaczą. Obiecuję, że przyjdę niebawem pod wskazany adres kwatery, jak tylko będę miała chwilę wolnego czasu.

Po przeniesieniu: „Nietykszy” na Podwale wracam na Ka-

nonię. Dowiaduję się, że są nowi ranni: „Faliński”, „Isia”, „Orzeł”. A więc czeka mnie nowy transport.

Tymczasem Niemcy odcięli nas na kilka godzin od reszty Starówki, zaatakowawszy ul. Celną. Jesteśmy otoczeni. Czujemy się nieswojo. Dopiero wsparcie innych oddziałów wyswobadza nas z ciężkiej sytuacji.

26.VIII, niedziela.

Razem z Grubą Zosią wysyłają mnie do apteki na Miodową 23. Apteka jest częściowo rozwalona, ale doskonale zaopatrzona w materiały opatrunkowe i leki. Wracamy obładowane tobołami.

Wieczorem mszę św. w podziemiach szpitala na Długiej 7 odprawia O. Rostworowski. Ołtarz ustawiono w jednej z piwnic. Wokoło pokotem leżą ranni. Personel szpitala oraz wolni od służby nieliczni żołnierze z oddziałów stoją w przejściach. Śpiewane pieśni to pieśni ludzi cierpiących, niekiedy złamanych przejściami nie do zniesienia, pełne smutku i błagania o litość; nie ma w nich nic z mocy i wiary we wspaniałe zwycięstwo. A kazanie księdza, choć pogodne i krzepiące, przygotowuje nas wszystkich na ewentualność podjęcia krzyża w miejsce miecza.

27.VIII.

Mam dyżur w aptece. Pomagam w robieniu opatrunków.

Wieczorem „Zajac” organizuje ognisko. Gromadzą się wszyscy jako tako zdrowi i cali z „wigierskich” oddziałów, nie będący w danej chwili na służbie. Ktoś deklamuje. Śpiewa „Modrzew” i „Moskito”. Między piosenki żołnierskie wplata się jak na urągowisko przedwojenny szlagier:

„I znów zakwitły kwiaty i znów ślą aromaty
I znów Warszawa bawi się i znów swój uśmiech śle,
W tę noc tętniącą wrzawą, w tę noc baw się Warszawo
I ciesz się swoją sławą, bo my kochamy cię!”

Nastrój jest przyjemny, wesoły i niemal beztroski. Czerwone grzane wino zrobiło swoje.

Niestety nie dane nam było z Janką doczekać końca imprezy. W związku z groźną sytuacją w okolicach katedry i nieustającymi atakami, o czym przybiegła zawiadomić Krystyna - odkomendero-

wano nas jako wsparcie sanitariatu I kompanii na Kanonię.

Jest noc. Prowadzi Krystyna. Na Rynku jasno jak w dzień. Pali się prawie cała jego lewa strona. **Dym gryzie w oczy, gorąco bije w twarz, w powietrzu pełno sadzy i pyłu.** Gruzy **zbombardowanego domu na rogu ul. Celnej** zawaliły przejście na **Jezuicką**. Trzeba po nich wspinać się w górę, przeskakiwać **płonące belki**. **Odcinek Jezuickiej do Kanonii** przebiegamy **schylone pod ścianami domów**. Trwają walki w katedrze. **Powstańcy podpalają zakrystię, aby zagrodzić drogę Niemcom.**

28.VIII.

0 godz. 7-ej rano schodzimy z dyżuru. Jest względnie **spokojnie**. Nocne ataki zostały odparte, ale nasi musieli wycofać się **z katedry**.

Odpoczynek na kwaterze w ministerstwie nie trwa długo. Już o godz. 11-ej w południe biegnę z Teresą na ul. Bugaj, gdzie wysłano o świcie na wsparcie pluton por. „**Andrzeja**”. Kierują nas do domu na Krzywym Kole. W pomieszczeniu na parterze **zastajemy rannego w brzuch „Massalskiego”** / Jan Piątkowski /. Po opatrunku przekazujemy go do odtransportowania kolegom. W chwilę potem wnoszą z postrzałem nerek „**Sokoła**” / **Zbigniew Derkuczewski** /. Nie stracił przytomności, ale stan jego jest b. ciężki. Trudno go było ściągnąć z miejsca gdzie padł. Ostrzał k-mu bronił dostępu. Właśnie „**Massalski**”, mimo ostrzeżeń por. „**Andrzeja**” skoczył ratować kolegę i też dostał.

Ponieważ czołg zaczyna ostrzeliwać dom, w którym się **znajdujemy**, razem z rannymi chronimy się do pomieszczeń po **przeciwnej stronie korytarza**, aby tam skończyć opatrunek.

Przy wyjściu na Brzozową natykam się na zakrwawionego por. „**Andrzeja**”. Dalej po drugiej stronie ulicy, w ruinach, **spotykam rannych „Brzeskiego” i „Olbrychta”**. Na szczęście **wszyscy oni mogą jako tako iść o własnych siłach**.

Tego dnia 2-gi pluton naszej szturmówki **poniósł znaczne straty**. Po południu na Rybakach zginął „**Markiewicz**”. **Poważnie ranni w nogi zostali „Roch” i 16-letni „Klecha”**.

Wieczorem wykorzystuję chwilę wolnego czasu, aby odwiedzić rannych przed kilku godzinami „**Massalskiego**” i „**Sokoła**”. Wchodzę do niewielkiego pokoiku, mieszczącego się w **suterynie** budynku Podwale 19. W pierwszej chwili, w półmroku nie mogę

odróżnić osób. Po pewnym jednak czasie wzrok **przyzwyczajają** się do ciemności. Na tapczanie pod Ścianą, tam gdzie wczoraj jeszcze leżał Jurek, widzę „Sokoła”. **Ma szeroki przekrwiony opatrunek na plecach. Leży na brzuchu. Do pasa okryty jest prześcieradłem.**

Wiem, że cierpi. Ciężkie westchnienia wyrrywają się z **ust**. Słyszę słowa gorącej prośby: „**pić**”. Wiem, że z powodu krwotoku wewnętrznego nic do picia dawać nie wolno. Chcąc mu jednak **ulżyć**, zwilżam kawałkiem waty spieczoną usta. Chwyta **gwałtownie** każdą kropelkę wody. Cały czas jest przytomny. Słyszę **szept: „kto to?”** Mówię swoje imię. W odpowiedzi głos pełen **niepokoju: „Basiu powiedz dlaczego lekarz nie chciał mnie operować?”** Tłumaczę, że na skutek dużego upływu krwi operacja bezpośrednio po wypadku byłaby **niebezpieczna**, że musi **poczekać** ze dwa dni, **podczas** których wzmocnią go odpowiednimi **zastrzykami**. Staram się mówić pewnie, spokojnie, bez drżenia **w** głosie. Grymas bólu pokrywam uśmiechem tak, jakby wszystko było OK.

Ileż to razy, w tych tragicznych chwilach zmuszałyśmy się do uśmiechu... przez łzy.

Przyznaję, miałam słabość do tego chłopca za jego **przywiązanie** i dziwną ufność jaką mnie darzył. Był najmłodszym **po „Klesze”** w naszym plutonie. Miał 17 lat.

Wiele bym dała, żeby można mu było pomóc, albo choć **ulżyć** w cierpieniu. Nacieram nogi spirytusem, gdy skarży się, że mu drętwieją. Pochylona ogrzewam ciepłymi rękami nagie ramiona. Nagle czuję, że chwyta mnie **gwałtownie** **za** szyję, **mocno** przyciąga do siebie, przybliża zimne usta do **mojej twarzy**. Jest coś bezgranicznie smutnego, wręcz **rozpacзлиwego** w tym odruchu. **Szukanie ochrony przed** zbliżającą się śmiercią? Ostatnie pożegnanie?

Gruba Zosia robi zastrzyk „**Massalskiemu**”. W kilka minut potem następuje krótka agonia.

Wychodzę na chwilę do sąsiedniej kuchni. Korzystam **z rzadkiej** okazji, aby się umyć wodą z trudem zdobytą, „**wystaną**” w długiej kolejce. W kilka minut **potem wpada „Szpak”** i mówi, że „**Sokół**” mnie woła. Kiedy podchodzę do niego jest już nieprzytomny, nie poznaje mnie, nie reaguje na słowa.

Ciężki przyśpieszony oddech nagle się urywa. To już koniec. Zamykam wpółotwarte oczy.

Późnym wieczorem organizujemy pogrzeb. Zwłoki obu chłopców, z których.. jeden poświęcił swoje życie dla drugiego, wkładamy do szerokiej, naprędcie zbitej z desek trumny. **Ich ostatnia droga jest krótka, prowadzi na najbliższe.. podwórko.** Ojciec Rostworowski odprawia modły, podczas kiedy koledzy kończą kopanie niezbyt głębokiego grobu. **Nie ma kwiatów, nie ma najbliższej rodziny, są tylko wzruszenia grupki towarzyszy i ostatnie ich pożegnanie** postawą na baczność.

30. VIII.

Dzień 30-go sierpnia jest dla nas dniem odpoczynku.

Spędzamy go w piarni ministerstwa. Od rana daje się zauważyć zwiększony ruch i stan podniecenia. Jedni za drugimi przybiegają gońcy z meldunkami, odchodzą z **nowymi poleceniami.** Ogłoszono **ostre pogotowie i zakaz oddalania się bez pozwolenia** poza obręb ministerstwa /naszej kwatery/.

Wszystko to wygląda na przygotowanie do jakiejś ogólnej dużej akcji.

Jest cudne, słoneczne, sierpniowe popołudnie. Gromadka chłopców, wśród nich Kazik, Stach, por. „Andrzej”, „Bak”, Wojtek Rawicz, na ganku pod piarnią zajęta jest **czyśczeniem p-mów, karabinów, pistoletów.** Słychać brzęk rozmontowywanej i składanej broni. **Twarze, choć wymizerowane i umorusane są pogodne.** Jesteśmy z Janką wśród nich; udziela nam się atmosfera ich trochę wisielczego humoru i **beztroski.** Kazik znany z dowcipu wie prym w rozśmieszaniu bliźnich. **Nastrój ogólnej wesołości, jaki wprowadza, pozwala nam choć na chwilę zapomnieć o tym co było i co nas jeszcze czeka.**

Janka szyje furażerkę dla „Łosia”. Biedna, całe palce **ma pokłute..** Ja przyszywam Stachowi kokardę biało-czerwoną do czapki, guzik do spodni małemu „Moskitowi”, potem robię opatrunek Józkowi, który sobie obtarł nogę.

Godziny upływają, chłopcy zwracają się do nas ciągle z **jakimiś drobnymi prośbami.**

Nadchodzi wieczór. Czas zakrzętnąć się koło kolacji. Obrzydliwą zupę, jaką dostajemy 3 **razy dziennie, jadamy**

tylko z musu. „Żbik” z „Piatem” wyszabrowali dziś 2 puszki konserw wieprzowych. Zadaniem dziewcząt jest postarać się o chleb, którego od kilku dni już nam nie przydzielają. Cudem jakimś udało się Jance i „Szczupłemu” zdobyć podstępem jeden bochenek. Trochę to jednak mało na 20 osób. Postanawiamy więc we dwie popróbować szczęścia po raz drugi. Magazyn żywnościowy mieści się w gmachu Ministerstwa na parterze. Jest tu kilka osób. W głębi siedzi „Afr”, „Modrzew”, „Lech” i inni. Przy drzwiach po prawej stronie na dużym stole stos pachnących, świeżych bochenków razowca. Podczas kiedy Janka zagaduje towarzystwo, pytając długo i rozwlekłe o Martę, ja ściągam za jej plecami ze stołu duży bochen i ukrywam go pod „panterką”. Już za drzwiami wybuchamy śmiechem, ciesząc się, że kradzież tak pięknie się udała. W międzyczasie chłopcy wystarali się o pół litra czystej i trochę czerwonego wina u p. Pułkownikowej. Szykuje się większa „biba”. W najbardziej zabitym kącie „papierni”, oświetlonym jedną mizerną świeczką, sporządzamy z Janką kanapki. Chłopcy ustawiają się w ogonku, każdy bierze w rękę swoją porcję, wypija starannie odmierzony kieliszek wódki i odchodzi. Czyniąc zadość ogólnym żądaniom we dwie z Janką również wychylamy „po kieliszku”.

Upływają minuty na pogaduszkach, przekomarzeniach i ostatecznych przygotowaniach do..jakiejś bliżej nieznanej nam akcji. Wyczuwamy instynktownie nastrój napięcia, moment zbliżającej się rozgrywki, która być może, zadecyduje wkrótce o naszym losie. Zosia i Irena mają dyżur w aptece, rozdają materiały opatrunkowe, lekarstwa, opaski uciskowe. Dziewczęta sprawdzają swoje torby sanitarne.

W pewnym momencie Irena bierze nas z Janką na bok i przyciszonym głosem mówi: „dziś w nocy będzie akcja. Wraz z innymi oddziałami idą nasi chłopcy. Być może razem z nimi pójdziecie wy, jako patrol sanitarny. Czujecie się na siłach? Jeszcze rozkazu nie ma, ale musicie mieć, na wypadek, cały ekwipunek przy sobie i w kompletnym porządku. Tylko warunek - pary z ust”.

Słowa Ireny przyjmujemy jako wyróżnienie.

Por: „Prokop” naznacza zbiórkę chłopców w „papierni” i jednocześnie wydaje rozkaz sanitariuszkom przygotowania

rannych do ewentualnego wymarszu. Dziewczęta rozchodzą się. Z chłopcami pozostajemy tylko we dwie z Janką.

W czasie zbiórki ogłaszają stan ostrego pogotowia i **zakaz** wydalania się poza obręb „papierni”. Chłopcy z bronią i plecakami gotowi są w każdej chwili do wymarszu. **Niektórzy próbują** drzemać w pozycji pólśiedzącej na materacu, są tacy co jeszcze popijają wino, inni zwracają się do nas z jakimiś prośbami: jednemu zsunął się bandaż, inny prosi o **opium** - ma bóle żołądka, tamtemu trzeba dać do torby **opatrunków osobistych**. Jest **diabelnie ciemno**, **jedna** mała świeczka oświecła ponure wnętrze. Stojąc z boku obserwuję ich wszystkich, chcę zapamiętać te, ledwo widoczne w mroku **twarze**. Ilu z nich po dzisiejszej nocy nie wróci już do naszego grona? Obiecuję „Dąbkowi”, że w czasie akcji będę blisko **niego** - ma złe przeczucia, z uporem maniaka twierdzi, że to **jego ostatni wieczór**.

Donośny głos por. „**Andrzeja**” zrywa nas na nogi. Chłopcy ustawiają się w dwuszeręgu. Jeszcze raz „**odlicz**” - sprawdzenie listy obecności i ilości posiadanej broni: 1 rkm, 2 „**błyskawice**”, kilka p-mów, kilka pistoletów, reszta **granaty i filipinki** - a potem pytanie skierowane do Janki, mnie, ustawionych na szarym końcu: „**czy wy idziecie z rozkazu „Prokopa”?**”

Chwila milczenia.- „Wobec, tego nie mogę was zabrać ze sobą”.

Chłopcy wychodzą pośpiesznie z „papierni”, pozostawiając nas na miejscu z żalem w sercu.

Staramy się odszukać kogoś z dowództwa, trafiaamy na por. „**Prymusa**”, którego prosimy o pozwolenie pójścia z oddziałem. Twierdzi, że on nami nie rozporządza, a decyzję w tej sprawie może wydać tylko „**Prokop**”. **Niestety „Prokop”, jak na złość, gdzieś zniknął**. Wybiegamy na podwórze, w gęstym mroku snuje się mnóstwo postaci, ale naszych już między nimi nie ma.

Wracamy do opustoszałej „papierni”. W przejściu natykam się na Irenę; w ciemnościach z trudem mnie rozpoznaje i proponuje pójść po dokumenty rannego „**Falińskiego**”. Zabrał je przez pomyłkę któryś z kolegów „**Andrzeja**”. Tadeusz „**Wolny**” ma mnie poprowadzić, bo właśnie idzie w tamtym kie-

runku z meldunkiem i zna drogę. Wręczają mi przepustkę, podają hasło. Przez bramę wychodzimy na ul. Długą, kierując się w stronę pl. Krasińskich. Od czasu do czasu mija nas jakiś patrol, albo łącznik biegnący z rozkazem. Na ogół jest raczej pustawo. Docieramy wreszcie do miejsca postoju naszych kolegów, które mieści się w jednej z bram na ul. Długiej.

Chłopcy zmęczeni posiadali pod ścianą, niektórzy poukładali się na gołej ziemi. Por. „Andrzeja” dostrzegam od razu, on jeden czuwa, stojąc pośród nich. Wyraźnie się ucieszył z mojej wizyty podobnie jak Kazik, który to manifestuje gromkim głosem wołając: „Baśka, jak Boga kocham, a więc idziesz z nami!” Muszę ich rozczarować, że tylko przyszedłam po dokumenty „Falińskiego”, ale obiecuję wrócić natychmiast z Janką. Nie będzie trudno skoro znam ich miejsce postoju.

W drodze powrotnej mija mnie dwóch łączników. Jeden przy-staje i przygląda mi się uporczywie, w ciemnościach trudno rozpoznać rysy twarzy. „Basiu to ty? - Po głosie poznaję „Baka”. „Idziesz od nas?” - Tak. - „I wracasz?” -Tak. - „To do zobaczenia”. Skąd mogłam wiedzieć, że była to moja ostatnia z nim rozmowa. Zginął w kilka godzin potem.

Docieram do ministerstwa z postanowieniem powrotu do oddziału. Odszukuję Jankę i mówię jej o wszystkim. W tej chwili ogłaszają rozkaz natychmiastowej zbiórki pozostałych osób łącznie z rannymi. Po sprawdzeniu obecności kierują nas na ul. Kilińskiego. Dopiero teraz dowiadujemy się wszystkiego. Sytuacja na Starówce jest ciężka, nie do opamiętania. Niemcy przypuścili atak ze wszystkich stron: od Żoliborza, Woli, pl. Zamkowego i Wisły. Będziemy próbować przebić się do Śródmieścia. Oddziały bojowe mają utrzymać przejście poprzez ul. Bielańską, Senatorską, ogród Saski do Królewskiej, aby można było ewakuować ze Starówki rannych, część ludności cywilnej i resztę powstańców.

Jest noc. Całą ulicę Kilińskiego i Długą zalegają tłumy. Trudno się precyzować. „Wigry” grupują się razem. Sanitariuszki prowadzą pod rękę lżej rannych kolegów. Tych, którzy nie mogą iść o własnych siłach niosą na noszach „cywile” w ten sposób i oni mają szansę przejścia do Śródmieścia

razem z powstańcami. Między, rannymi widzę „Wojnicza”, „Pa-
la” /dowódcę „Parasola”/, „Rocha”, „Nietykszę”. Przy każdym
jest jedna z naszych sanitariuszek. W tłumie dostrzegam
„Klechę”. Daje mi rozpaczliwe znaki. Dołączam do jego no-
szy, które dźwiga kilka osób stanowiących jedną rodzinę.
Tadzio cieszy się, że jest przy nim któraś z „wigierskich”
dziewcząt. Nie ufa „cywilom” twierdząc, że w razie jakiej-
kolwiek paniki gotowi są porzucić go na drodze.

Ustawiamy się w ogonku. Nakazują zachować bezwzględną
ciszę. Nie takie to proste, gdy w ciemnościach ludzie gubią
się wzajemnie i nawołują, a pod nogami chrzęści zerwana
z dachów blacha i inne żelastwo. Posuwamy się wolno. Z tru-
dem pokonujemy wyrwy po pociskach, okrażamy leje po bom-
bach. Nogi wykręcają się. Ulica zasłana jest zwałami gruzów
i kamieni. Co kilka kroków, gdy pochód zatrzymuje się, kła-
dą nosze z Tadzkiem na ziemi, by je za chwilę znów poderwać.
Za każdym razem usuwam spod nich cegły i kamienie, aby nie
uraziły poharatanej nogi. Rana nie jest wprawdzie ciężka,
ale świeża i bolesna.

Mam przy sobie w przepaścistych kieszeniach spodni
ogromny zapas pierników, czekolady i cukierków. Na skutek
likwidacji magazynu dostało się nam trochę tych de-
likatesów, o których istnieniu nie mieliśmy pojęcia. Tadzio
nie ma jakoś apetytu. Na ogół jest spokojny i bardzo szczę-
śliwy, że jest ktoś ze swoich przy nim.

Z trudnością przeciskamy się przez wąskie przejścia mię-
dzy barykadą a budynkiem. Mijają kwadransy a my wciąż jesz-
cze tkwimy prawie w tym samym miejscu. Przestrzeń kil-
kunastu metrów przebywamy dosłownie w godzinę. Niemcy czę-
sto rozświetlają ulicę rakietami. Wznoszą się one raptownie
w górę, zakreślają ogromny łuk na niebie. Robi się wtedy
jasno jak w dzień. Na przeciąg kilku chwil tłum nierucho-
mieje, przyciska się do murów, klęka na ziemi i zamiera.

Noc jest na ogół spokojna. Nie słychać ani artylerii ani
„szaf”, ani granatników, tylko gdzieś z oddali dobiegają
serie karabinów maszynowych. Czyżby Niemcy nie zdawali so-
bie sprawy co się święci? Dochodzimy do placu Krasińskich.
Mamy przed sobą trudną do pokonania przeszkodę. Stanowi ją
barykada. Przez nią trzeba przerzucić nosze z rannym. Kosz-

tuje nas to sporo wysiłku. Przejście przez plac, jest niebezpieczne; nieosłonięte od strony Bonifraterskiej, skąd bywa silny ostrzał. Właśnie tutaj goni nas ze świstem pierwszy pocisk. Przypadam do ziemi, aby po detonacji znów się poderwać i biec dalej. Nowy świst. Tym razem uderzyło całkiem blisko. Robi się popłoch. Przy moich nogach ładują nosze z Tadzkiem, rzucone na ziemię; ci co go nieśli, przysnęli pod ścianą. Przyklękam, osłaniam chorą nogę i pilnuję, aby chłopaka nie stratowano. Rakiety oświetlają nas w dalszym ciągu. W jasnym ich blasku widać przerażone twarze. Znowu czekamy. Tymczasem dzieje. Najdalej za godzinę, półtorej, jak zwykle, zaczną się nieprzyjacielskie naloty. Skóra cierpieć na samą myśl co się wtedy może dzieć - istna masakra.

Jesteśmy zdezorientowani, ale jednocześnie prawie pewni, że dzisiejsza akcja nie powiodła się. Wkrótce nasze przewidywania sprawdzają się. Zarządzają odwrót. Nie wiem skąd wzięła się przede mną Janka. Chwytny nosze z Tadzkiem i transportujemy go do ministerstwa, aby za chwilę wrócić po następnych kolegów. W odwrocie „cywile” nam już nie pomagają. Dziewczęta zdane są wyłącznie na własne siły. Wśród nich widzę Justynę, Krystynę, Zośkę, Olę, Iskrę.

31.VIII.

Po powrocie jesteśmy jak otumanieni, niepewni sytuacji, być może, że wkrótce wkroczą Niemcy. Nie wiemy co się stało z naszymi chłopcami. Nie ma wśród nas nikogo z dowództwa, ani „Trzaski”, ani „Prokopa”, ani „Andrzeja”.

Pierwsze konkretne wiadomości przynosi nam „Saski”. Wpada do kwatery spocony i zziębnięty. Jest ranny w rękę. Przebicie nie udało się. Są zabici i ranni, niektórzy nieopatrzeni. Sanitariuszki potrzebne natychmiast. Wyruszamy dużą grupą: lekarz, Irena, Hala, Zośka, Sewa, Janka i ja. Taszczymy ze sobą nosze i apteczki. „Saski” prowadzi. Ul. Długa jest pod silnym ostrzałem i dlatego zrobiono równoległe do niej przejście łączące Kilińskiego z Miodową. Droga jest zawiła: prowadzi poprzez podwórza, między oficynami domów i poprzez liczne dziury wybite w murze. Niekiedy, aby przejść przez budynek trzeba wspinać się po desce, opartej o parapet okna mieszkania na parterze, skąd dopiero jest wyj-

ście na podwórko następne. Częściowo rozwalone domy obchodzimy podziemnymi piwnicznymi przejściami. Różnicę poziomów, gdy nie ma dostępu do schodów, pokonujemy dzięki ustawionym w piramidę stołom i stołkom. Przy wąskich przejściach tworzą się kolejki. Miodową przebiegamy schyleni pod barykadą. Pasaż łączący się z Hipoteczną zatkany ludźmi. Na podwórkach gromadzą się oddziały. W tłumie łatwo się zgubić. Panuje ogólne zamieszanie i chaos.



5. Brama pasażu na Hipoteczną

Na Hipoteczną wychodzi się przez bramę. Tędy wycofują się oddziały z Daniłowiczowskiej.

W przeciwnym kierunku nie puszczają nikogo. Nasze argumenty, że idziemy po rannych nie są dostatecznym powodem do łamania rozkazu przez posterunek, pilnujący przejścia. Wy-

korzystujemy jednak moment zamieszania i tym razem tylko we troje z Janką i „Saskim” prześlizgujemy się przez bramę, pozostawiając za sobą resztę grupy. Idziemy przeciw prądowi bez przerwy wycofujących się oddziałów. Przez moment, patrząc na niemieckie mundury jakie noszą na sobie, mam wrażenie, że to nieprzyjacielscy jeńcy.

Poszarzałe, umęczone twarze, wlokące się w żółwym tempie „nogi”, świadczą o trudach nocnej przeprawy, zakończonej klęską. Wypatrujemy swoich. Dostrzegamy wreszcie w tłumie, jako pierwszych, por. „Prokopa” i por. „Andrzeja”. Tak jak wszyscy są zdezorientowani. Potwierdzają tylko, że nasi ranni pozostali jeszcze na Daniłowiczowskiej i trzeba ich stamtąd zabrać.

Docieramy do Banku, gdzie, jak twierdzi „Saski” mieści się punkt opatrunkowy. Tu prawdopodobnie odnieśli rannych „Stasiuka”, „Kańskiego”, „Moskito”, „Kazulę” i innych.

Przechodzimy zatłoczonymi piwnicami. Potykamy się w ciemnościach o porozstawiane krzesła, stołki, porzucone toboły. Nosze, które taszczymy ze sobą bardzo nam przeszkadzają. Idziemy po omacku trzymając się za ręce, aby się nie

pogubić. Przez dziurę w murze wychodzimy na klatkę schodową, a stamtąd na malutkie podwóreczko. Wreszcie trochę światła i świeżego powietrza. Podobno punkt opatrunkowy mieści się na I. piętrze, dokąd trzeba się wspiać po wąziutkiej drabinie. Oczyma wyobraźni widzimy nas powracających tędy z rannym kolegą i żałuję, że nie mamy przy sobie mocnej liny. Jankę nachodzą te same wątpliwości, bo mruczy pod nosem: „diabli nadali! jak my ich będziemy tędy znosić?”

Znowu ciemne korytarze, stryszki, zakamarki, schodki. Zupełnie nie wiemy gdzie jesteśmy, być może kręcimy się w kółko. Dopiero spotkana przypadkowo sanitariuszka orientuje nas gdzie mogą być chłopcy z batalionu! „Wigry”. Pomieszczenia dalsze są prawie zupełnie ciemne. Krążymy wśród rannych, poukładanych na materacach względnie noszach. W świetle rozbłyskujących zapalek przyglądamy się ich twarzom. Na próżno nawołujemy „wigierczyków”. Wreszcie dochodzi nas, gdzieś z oddali głos „Stasiuka”: „tutaj chodźcie”.

Stach leży na podłodze na materacu. Obie nogi ma zabandażowane aż po uda. Wie, że przyszliśmy, aby go zabrać do naszego „wigierskiego” szpitalika. Nie ukrywa radości z tego powodu, ale jednocześnie oznajmia, że w ruinach domu na Bielańskiej pozostał ciężko ranny „Kański” i to jemu pilnie potrzebna jest nasza pomoc - ..”jeżeli Edek jeszcze żyje... jeżeli nie zagarnęli go Niemcy, musicie.. go stamtąd ściągnąć... „Saski” ty znasz drogę, to poprowadzisz. Zobaczcie ja już jestem opatrzony, mogę sobie spokojnie na was poczekać, ...ale Edek...”

Taki jest „Stasiuk”. Nawet teraz wykazuje przede wszystkim troskę o kolegę, chociaż doskonale zdaje sobie sprawę, że on sam może w każdej chwili wpaść w ręce Niemców - są tuż, tuż po drugiej stronie ulicy. Wycofujemy się obiecując, że natychmiast po odtransportowaniu Edka zjawimy się tutaj jeszcze raz. „Stasiuk” nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Żegna nas uśmiechem. Wychodzimy na Daniłowiczowską. Prowadzi „Saski”. Dookoła jedno rumowisko. Wszystkie domy zburzone, względnie spalone. Trudno doszukać się śladów dawnej ulicy. Co tu się działo u licha? Martwą ciszę przerywają pojedyncze strzały od pl. Teatralnego, czasem wybuch granatu, albo seria z karabinu maszynowego. Bomby, po-

ciski artyleryjskie tu nie docierają, za blisko pozycji niemieckich.

Na Daniłowiczowskiej w ruinach więzienia natykamy się na placówkę powstańczą. Dwóch chłopców przyczajonych za najbliższym murem daje znaki, aby podchodzić cicho i ostrożnie. Kilku następnych ubezpiecza punkt od strony pl. Teatralnego, dalszych trzech pilnuje przejścia od Bielańskiej.



6. Ruiny więzienia na Daniłowiczowskiej

Porozumiewamy się z nimi „na migi”.

Twierdzą, że gdzieś w pobliżu rzeczywiście musi być ranny, słysząc bowiem jęki. Nie wiedzą jednak dokładnie, gdzie. Postanawiamy iść naprzód.

Ruiny więzienia z narożnikiem najbliższego domu łą-

czy niziutka barykadka, widać, że sypana na prędcie z cegieł i gruzu. Przeczolgujemy się pod nią ciągnąc nosze. Przez otwór w murze wskakujemy do niezbyt głębokiej piwnicy. Dom jest wypalony. Niczym nieosłonięte okienka podziemi wpuszczają stosunkowo dużo światła; nie idziemy po omacku. Po przejściu kilku piwnic wydostajemy się na małe podwóreczko osłonięte z jednej strony murem, z dwóch innych ruinami wypalonych kamienic. Chłopcy, których mijamy ostrzegają, że za pięćdziesiąt minut wycofują się. Mamy niewiele czasu. Penetrujemy najbliższe ruiny. Ostrzał grozi nam głównie od Bielańskiej. W dużej mierze chronią przed nim wypalone ściany domu, o ile oczywiście idzie się w przygiętej pozycji. Być może bardzo blisko tkwią przyczajeni Niemcy; staramy zachowywać się jak najciszej. Stłumionym głosem nawołuję kilkakrotnie: „Edek ... Edziu, gdzie jesteś? .. odezwij się..” Słyszę słaby jęk. Na stercie gruzów i jakiegoś żelastwa dostrzegam leżącą postać. Tak to Edek. Bez czapki, w pokrwawionej, poszarpanej „panterce”. Serce ściska się z żalu. Jest śmiertelnie blady, osłabiony, mówi z trudnością. W głosie, obok wdzięczności,

brzmi nuta wyrzutu: „ - a jednak przyszłyście ... myślałem, że już nikt mnie stąd nie zabierze.... czekam tak strasznie długo...”

W chwilę po mnie wpada Janka i „Saski”. Przyklekamy. Podczas, gdy ja uważnie oglądam okrwawioną głowę, Janka rozcina bluzę „panterki”. Całe ciało naszpikowane jest drobnymi odłamkami, ale ran głębszych nie stwierdzamy. Robimy pierwszy prowizoryczny opatrunek. Edek narzeka na nogę. Na próżno usiłujemy ściągnąć but.



7. Tu znaleźliśmy Edka

Chłopcy w pobliżu nawołują do pośpiechu. Nie są w stanie dłużej się utrzymać, opuszczają placówkę.

Układamy Edka na noszach i wycofujemy się. Czeką nas ciężkie przejście piwnicami. Poprzez wywaloną dziurę w stropie spuszcza

ramiona Janki, która stojąc na rumowisku, z trudem łapie równowagę. Z piwnic wychodzi się przez niewielki otwór, umieszczony na wysokości ponad 1,5 m. Gramolę się pierwsza i pełzną układam się natychmiast na brzuchu pod przytykającą do wyjścia barykadą. Za mną wysuwają się powoli nosze z Edkiem, które dźwiga z tamtej strony Janka z kolegą. Ciągnę je całej siły do siebie. Strasznie to wszystko długo trwa. Wreszcie kiedy już wszyscy jesteśmy na powierzchni zaczyna się najtrudniejszy odcinek drogi. Trzeba przeciągnąć ranego wzdłuż niziutkiej barykadki, liczącej, około 10 m długości. Przestrzeń ponad nią, od pl. Teatralnego, jest zupełnie otwarta. Każdy nieopatrzny ruch może sprowadzić na nas ogień nieprzyjaciela. Janka z „Saskim” czołgając się tyłem, na komendę: raz, dwa, trzy - pociągają nosze za sobą, w tym samym momencie ja je popycham z drugiej strony do przodu. Świeży gruz rozbitych cegieł rani nam ręce i kolana. Edek prawie nieprzytomny, nieświadomy sytuacji, przynajmniej nie czuje bólu. Wszyscy jesteśmy zdenerwowani. Wymyślamy sobie

wzajemnie przyciszonym głosem:



8. ul. Daniłowiczowska - barykadka i okienko piwniczne, przez które wyciągano Edka Kuminka.

- „Janka, wariatko, nie ciągnij tak gwałtownie.... miażdżysz mi ręce!”

„Baśka, do cholery, nie wypinaj się, bo cię ustrzelą!.. tego tylko brakowało”.

Pozostało nam do przebycia jeszcze kilka metrów przestrzeni nieosłoniętej. Na komendę podrywamy się wszyscy raptownie i jednym skokiem chronimy się za występ muru. W ostatnim momencie zawadzam nogą o jakąś przeszkodę i walę się na ziemię. Suchy trzask i rozpryskujący się tynk ponad naszymi głowami świadczy, że w pobliżu rąbnęła seria k-mu.

Robimy krótki odpoczynek. Siadamy za murem obok kilku chłopców broniących ostatniej placówki powstańczej. Oni obserwowali nas jak przeciągaliśmy nosze z Edkiem pod barykadką. Pytają z jakiego jesteśmy oddziału? Odpowiadamy: z „Wigier” „to szczęśliwi ci Wigierczycy, że mają takie sanitariuszki”. W odpowiedzi macham rękę ze słowami: ee - tam!. Nie mamy czasu na dłuższy odpoczynek. Jesteśmy zdane z Janką wyłącznie na własne siły. „Saski” z ręką na temblaku może być tylko naszym przewodnikiem.

Znów ta sama zawiła droga przez ruiny, piwnice, podwórka i różne karkołomne przejścia - tym razem dużo trudniejsze, bo z rannym.

Powrót opóźniają stałe naloty. Chowamy się wtedy do bram, bądź na klatki schodowe. Z zamierającym sercem słuchamy przeraźliwego warkotu nurkujących samolotów, świstu padających w pobliżu bomb i detonacji. Edek leży na wznak. Od czasu do czasu otwiera oczy i znów je ze strachem zamyka. Pochyliam się wtedy nad nim, aby osłonić przed ewentualnym przysypaniem chociaż jego głowę i twarz. Na terenie dawnego Miejskiego kina, w okrągłej, kolumnowej sali, pozbawionej sufitu, robimy dłuższy postój. Jesteśmy u kresu sił. Zwracamy się o pomoc do wielu przechodzących tędy mężczyzn. Każdy wykręca się służbą, gdzieś się śpieszy. Wreszcie Janka, kląć i wymyślając, przyprowadza siłą, niemal za kołnierz, jakiegoś szamoczącego się

dziadka, który miał nieszczęście gotować sobie w pobliżu klu-
ski na palenisku zrobionym z kilku cegieł. Grożąc pistoletem,
każe mu brać nosze. Wlecze się za nami z trudem. Znika już na
pierwszym postoju.

Kres naszej uciążliwej drogi stanowi kwatera w gmachu mi-
nisterstwa na Długiej 7. Przekazujemy Edka pod fachową opiekę
naszych lekarek „Beli” i „Ireny”, podczas kiedy same wracamy
na Daniłowiczowską po „Stasiuka”.

Tym razem do pomocy przydzielają nam czterech Żydów
z garkuchni. Adam „Lubicz” ranny w rękę, ale uzbrojony
w pistolet stanowi ich eskortę, aby nie uciekli. Mimo tego
dwóch „wieje” od razu na początku drogi.



9. Droga z rannym „Stasiukiem” przez
ruiny banku

Dochodzimy do bramy wychodzącej
na Hipoteczną. Zmuszone jesteśmy po-
zostawić tutaj naszych żydków pod
„opieką” Adama. Są załamani. Trwają-
ce, prawie bez przerwy bombardowanie
i silny ostrzał zupełnie ich wytra-
ciło z równowagi i dadzą się raczej
zatłuc na miejscu, a dalej nie pój-
dą.

Ulicę przeskakujemy tylko we
dwie. Drogę znamy i stosunkowo szyb-
ko odnajdujemy „Stasiuka”. Układamy
go na noszach. Mijamy zaciemnione
pomieszczenia, wychodzimy na zew-
nątrz budynku. Otaczają nas zwały
gruzów. Jedyna droga przez te rumowi-
ska prowadzi po stalowej belce stropu
nad rozwaloną piwnicą. Bierzymy „Stasiuka na „stołeczek” ze
splecionych naszych dłoni, chwyta nas mocno za szyję; na
szczęście jest przytomny. Wolno i niesłychanie ostrożnie
przenosimy go nad czeluścią zapadłej piwnicy. Czujemy się
prawie tak, jak cyrkowcy balansujący na linie.

W bramie na Hipotecznej odnajdujemy Adama i dwóch pozos-
tawionych tu Żydów. Dalszą drogę odbywamy we wzmocnionym
składzie.

Przy jakimś przejściu natykam się na biegnącą w przeciw-
nym kierunku koleżankę z gimnazjum Halinę Dalicką. W prze-

locie dowiaduję się, że jako łączniczka, utrzymuje stały kontakt ze Śródmieściem. Widziała na Kruczej moje dwie przyjaciółki: Wandę Manczarską i Stasię Witkowską. W pośpiechu zdołała mi tylko przekazać, że są całe i zdrowe. Wdzięczna jej jestem za te bardzo skąpe, ale jakże ważne wiadomości.

„Stasiuka” tak jak Edka odstawiamy do „papierni” w ministerstwie.

Nieludzko zmęczona, postanawiam choć trochę wytchnąć. Wlokę się noga za nogą, potykając na nierównej drodze, do naszego szpitalika na Podwalu 19. Marzę o splukaniu zimną wodą rozpalonej twarzy, lepkiej od potu, szarej od pyłu i sadzy. Pokaleczone nogi pieką niemiłosiernie. Obolałe ręce mam chyba powyrywane z „zawiasów”.

Nasz szpitalik mieści się w suterynie nowoczesnej, stosunkowo mało zniszczonej kamienicy. Z niewielkiego korytarzyka wchodzi się na lewo do kuchenki, a na wprost do obszernego pomieszczenia, stanowiącego izbę chorych. Wprawdzie jest tu duszno i ciemnawo na skutek szczelnie zatkanych okien, ale jednocześnie czysto, schludnie i spokojnie. Ranni poukładani przeważnie na podłodze na materacach zasłanych czystą pościelą. Sprawy zaopatrzenia szpitalika wzięła na siebie mieszkanka tego domu. „Kameleon”, osoba niesłychanie zapobiegliwa i sprytna. Z dziewcząt można tu spotkać zawsze Lidkę, Wisię, Grubą Zosię, Iskrę, często Irenę i Belę, te z większym stażem pielęgniarskim.

Chłopcy są spragnieni wiadomości. O tym, jaka jest sytuacja ogólna, kto zginął tej nocy, wiedzą już od kolegów, którzy brali udział w przebiegu; niepokoją się natomiast o los rannych. Opowiadam im o naszej przeprawie po „Kańskiego” i „Stasiuka”. Przychodzi mi to z trudnością. Nie mogę opanować drżenia głosu, rozklekotanych nerwów, niehumanitarnego wprost zmęczenia. Widzą to. „Nietyksza” namawia, żeby się u nich „zadekować” i przespać, inaczej przydzielią mnie znów do jakiejś akcji.

Układam się na brzeżku materaca u ich nóg, starając się zająć jak najmniej miejsca, zwinięta w kłębek z punktu zasypiam.

Budzi mnie nagle donośny, krzykliwy głos „Kameleona”: „do czego to podobne, aby sanitariuszka przychodziła tutaj się przesypiać, przecież to tylko szpital!”

Półprzytomna dopiero po chwili łapię sens zdania. Chłopcy są oburzeni, stają w mojej obronie, zatrzymują. Nie czuję zażenowania, ale jest mi bardzo przykro. Z trudem hamując łzy wychodzę.

Dowiaduję się, że jestem poszukiwana jako jedna z nielicznych znająca drogę na Bielańską, miejsca dzisiejszej nocnej akcji. Dowódca naszego batalionu „Trzaska” oraz jego adiutant „Leszek” dotychczas nie powrócili. Nie widziano ich ani wśród rannych, ani zabitych. W piekle dzisiejszego natarcia, w zamęcie gwałtownego, dziesiątkującego ognia, nikt nie zauważył, co się z nimi stało. Przepadli. A nuż ranni, niezauważeni przez nikogo, gdzieś w ruinach, oczekują pomocy? Nie ma chwili do stracenia. Razem z Halą i Ireną, zaopatrzone w parę noszy i apteczki, wyruszamy na poszukiwanie znaną mi drogą w kierunku Bielańskiej. Ruinami biblioteki Załuskich dochodzimy na tyły dawnego ratusza. Wszędzie cicho i głucho. Nie ma żadnych oddziałów powstańczych w pobliżu, przynajmniej w zasięgu naszego wzroku, nie ma placówki, na którą natknęliśmy się jeszcze przed południem. To nas trochę dezorientuje i niepokoi. Z każdego załomu muru mogą wyskoczyć na nas Niemcy. Nie mamy pojęcia gdzie się znajdują. Po cichu i ostrożnie penetrujemy najbliższe ruiny ratusza i sąsiednich domów, U wylotu Daniłowiczowskiej na Bielańską widać leżące zwłoki. Z tej odległości trudno poznać, czy to akurat ci, których szukamy. Wydaje nam się, że żadne nie mają postaci tak charakterystycznej dla „Trzaski”. Korci nas jednak, aby to sprawdzić w stu procentach. Miejsce, w którym leżą jest całkowicie odsłonięte, stanowi doskonale pole ostrzału. A może by tak zdecydować się na oficjalne wyjście z płachtą czerwonego krzyża? Mamy niejaki wątpliwości czy Niemcy, mimo wszystko, nie puszczą w nas serii? Zresztą leżący nie dają żadnych oznak życia. To już trupy. Dochodzimy do wniosku, że w tym wypadku po prostu nie wolno ryzykować. Zawracamy z niczym.

Dopiero następnego dnia dojdzie nas wiadomość, że „Trzaska”, razem z oddziałem „Zośki”, przebił się do Śródmieścia,

jego zaś adiutant „Leszek” zginął w czasie skoku już niedaleko Królewskiej.

1.IX.1944

Po nieudanej akcji przebicia do Śródmieścia, wobec beznadziejnej sytuacji na Starówce, dowództwo Armii Krajowej wydaje rozkaz wycofania ze Starego Miasta oddziałów powstańczych kanałami, Ewakuacji podlegają również lżej ranni, mogący jako tako iść o własnych siłach oraz służba sanitarna oddziałów. Ludność cywilna i ciężko ranni pozostają. Ci ostatni na ogół bez żadnej opieki. Chyba, że koleżanki – sanitariuszki dobrowolnie, a często i wbrew rozkazowi dowódcy, zdecydowały się pozostać razem z nimi. W szpitalu na Długiej i Miodowej również zostaje część personelu.

Cały dzień trwają przygotowania do wymarszu. Sanitariuszki zakładają nowe opatrunki, rozdzielają niezbędne zastrzyki zarówno tym co pozostają, jak i tym, którzy mają być ewakuowani. Niektórych trzeba przebandażować, zlikwidować zbyt sterczące „szyny”, aby mogli zmieścić się w kanale. Większość rannych pragnie opuścić Starówkę. Nie dowierzają Niemcom, zwlekają się z łóżek nawet ci, co ledwo trzymają się na nogach. Łudzą się, że dadzą radę iść, Dadzą radę... o ile sanitariuszka podeprze, pociągnie, albo i zarzuci na plecy, jak będzie trzeba. Edka „Kańskiego”, osłabionego wpływem krwi po niedawnych zranieniach, zabiera do kanału na swoją odpowiedzialność Justyna, ratując mu tym życie. „Nietyksza” ma 39° gorączki i zgangrenowaną rękę. W ostatniej chwili decyduje się na przejście. Doprowadzam go do wjazdu: Wlecze nogi z trudnością. Przystaje od czasu do czasu. Łapie oddech. Na pożegnanie, wiedząc, że zostaje, darowuje mi swojego colta ze słowami: „mnie już nie potrzebny, a ty weź, może ci się przyda...”

Po kolei, grupami, doprowadzamy rannych do wjazdu na pl. Krasińskich. Dołączają do długiego ogonka. Nim przyjdzie ich kolejka postoją tu dobre kilka godzin.

Z rannymi schodzą do kanału również sanitariuszki. Nieodbitki oddziałów tkwią jeszcze na barykadach. Osłaniają odwrót. Oni zejdą ostatni, jeżeli zdążą.

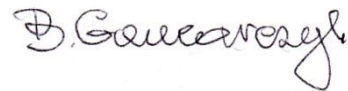
Późnym wieczorem okolice gmachu ministerstwa na Długiej, ulice Kilińskiego i Podwale, wyludniają się. Pustoszeją kwa-

tery batalionów. W czasie powstania wtedy, kiedy mieścił się tu sztab dowództwa, był to chyba najruchliwszy punkt Starego Miasta. Teraz tu głucho i martwo, przynajmniej pozornie.

Wszak żywi ludzie... setki żywych, umęczonych ludzi spośród ludności cywilnej i **rannych** zalegają piwnice domów, które cudem jakimś nie rozsypały się jeszcze w gruzy. **Pozostawieni** na pastwę losu miotani rozpaczą i niepewnością, co ich jeszcze czeka, przeklinają w duchu to całe powstanie.

Skuleni pod ścianami obok **swoich** tobołków, walizek, czekają w milczeniu, w trwodze, aż ich nie poderwie na równe nogi dziki wrzask: „Rauss!! Schnell!!”

Barbara Gancarczyk



Załączone fotografie wykonane zostały przez autorkę w 1946r.

Indeks osób występujących w relacji „Fragmenty z pamiętnika sanitariuszki „Pająk”-bat. Wigry

„Adam” - „Lubicz” - Adam Nikolay
„por. Afr” - Henryk Wyganowski
por. „Andrzej” - Jerzy Kowalczyk
„Bandera” - Kazimierz Skupień
„Basia Wasilewska - Barbara Kopeczek
„Bak” - Zdzisław Bacciarelli
„Bela” - Izabela Niedźwiecka - Namysłowska
„Benesz” - Bernard Bieliński
„Bellona” - Małgorzata Przedźymirska
„Brzeski” - Zdzisław Śliwiński
„Chińczyk” - NN z plutonu 11-12
„Dalicka Halina” - Halina Andrzejewska
„Dąb” -
„Dąbek” - Stanisław Gałazka
„Edek” - „Kański” - Edward Kuminek
„Ewa” - Ewa Dziewulska - Siemińska
„Faliński” - Stefan Filipowicz
„Gruba Zosia” - „Zosia” - Zosia Łoszczyńska - Nowiak
„Hala” - Halina Paschalska - Najder
„p. Hanka” - NN- łączniczka Delegatury Rządu
„Honorata” - Honorata Wodzyńska - Kokocińska.
„Ikar” - „Jurek” - Jerzy Szymański
„Irena” - Irena Deresz
„Isia” - Maria Sielużycka - Czermińska
„Iskra” - Wanda Haft - Szatyńska -Maciejewska -Woźniak
„Janka” - Janina Gruszczyńska - Jasiak
„Jeleń” - Bogdan Zaniewski
„Jurek” - „Ikar” - Jerzy Szymański
„Justyna” - Helena Suryn
„Józek” -
„Kameleon” - Irena NN
„Kański” - „ Edek” - Edward Kuminek
„Kazik” - „Koch” - Kazimierz Kąkol
„Kozuło” - Kazimierz Matuszewski
„Klecha” - „Tadzik” - Tadeusz Suski
„Koch - „Kazik” - Kazimierz Kąkol
„Korwin” - Edward Matuszyński
„Krystyna” - „Wierna” - Krystyna Grabowska
Książd z katedry - ks. Wacław Karłowicz
„Lech” - Leszek Klimczak
„kpt. Lech” - Paweł Leński
„Leszek - adjutant” - Zbigniew Popowicz
„Litka” - Lidia Buczek

„Lubicz” - „Adam” - Adam Nikolay
„Łoś” - Henryk Modzelewski
„Mały Moskito” - Zdzisław Borysiak
„Markiewicz” - Seweryn Pasikowski
„Marta” - Zofia Jóźwiak - Swiercz
„Massalski” - Jan Piątkowski
„Modrzew” - Roman Zieliński
„Moskito” - Wacław Siemiński
„Moskito - Remek” - Remigiusz Sowiński
„Nietyksza” - Zdzisław Niekrasz
„Ogniomistrz” - „Lepa” - Andrzej Lewocki
„Ola” - Aleksandra Taube - Jankowska
„Ola - Ola” - Aleksandra Petrażycka
„Olbrycht” - Jerzy Olszewski
„Orzeł” - Arkadiusz Rudzki
„Pal” - Adam Borys
„por. Piorun” - Jan Derengowski
„Płat” - Tadeusz Fabisiak
„por. Prokop” - Roman Kaczorowski
„por. Prymus” - Jerzy Chorzewski
„Rawicz” - „Wojtek” - Wojciech Rzymowski
„Robert” - Tomasz Russanowski
„Roch” - Jerzy Kowalski
„por. Roman” - Jan Golański
„Saski” - Eugeniusz Bazyl
„Sewa” - Seweryna Siemińska - Wieszcza
„Skóra” - Kazimierz Cholewa
„Sokół” - Zbigniew Derkuczewski
„Stach” - „Stasiuk” - Stanisław Olejnik
„Stasiuk” - „Stach” - Stanisław Olejnik
„Szary” - Jan Fejge
„Szczupły” - Wojciech Szmelter
„Szpak” - Hanna Kłopotowska - Pawłowska
„Tadzik” - „Klecha” Tadeusz Suski
„Teresa” - Teresa Potulicka - Łatyńska
„Trzaska” - Eugeniusz Konopacki
„Wasilewska Basia” - Barbara Kopeczek
„Wisia” - Jadwiga Konopacka - Klimaszewska
„Wojnicz” - Jerzy Krieger
„Wojtek” „Rawicz” Wojciech Rzymowski
„Wolny” - Tadeusz Olejarski
„Zbych” - Zdzisław Skupień
„Zosia” - „Gruba Zosia” - Zofia Łoszczyńska - Nowiak
„Żbik” - Henryk Fabisiak